Mark Twain.

HUMORESKI.

Przełożył

A. GRUSZECKI.

TOM PIERWSZY.

WARSZAWA
Wydawnictwo Dzieł Tanich A. Wiślickiego.

1879.

78963
klocek
UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

Дозволено Цензурою,
Варшава, 16 Августа 1879 года.

339347
5,-

W Drukarni Przeg. Tygodniowego, ulica Czysta № 2.

I/37/2012 P

* * *

Marek Twain — właściwe nazwisko *Samuel Longhorne Clemens* — urodził się d. 30 listopada 1837 r. w Florydzie, hrabstwie Monroe w państwie Missouri. Nie jest on człowiekiem „uczonym", jak również Bret Harte. Rodzice odumarli go za młodu a on dostał się do drukarni. Trzy lata tam przebywał. Zaledwie rok siedmnasty liczył, już był sternikiem parowca, płynącego po Mississipi pomiędzy St. Louis a Nowym Orleanem. Gdy w r. 1860 starszy brat jego został mianowany vice namiestnikiem Nevady, sprawował na krótki czas u niego obowiązki prywatnego sekretarza. Poznawszy się tu z kopaczami złota i srebra, z graczami, niciponiami i t. p. ludźmi — a działo się to w „wesołych" dniach Nevady — spotykamy go w Wirginii — City, stolicy Navady, jako współredaktora dziennika, który zasilał jeszcze w czasie swych podróży artykułami. Od r. 1864 do 1866 trudni się literaturą w San-Francisco, następnie odbywa podróż do wysp Sandwichskich, a po powrocie miewa publiczne odczyty w Kaliforni i Nevadzie. W tym czasie wydał on rozrzucone po czasopismach i dziennikach swe szkice, część pierwszą p. t.: The Celebrated Jumping Frog of Calaveras and other Sket-

ches. — W r. 1867 zwiedził Europę, Azyę i Afrykę. Naturalnie, że zużytkował tę podróż do swej praoy literackiej p. t. „Wrażenie z podróży". Po powrocie do ojczyzny, zarządza częścią humorystyczną „Galaxy-Magazine" w New-Jorku.

Marek Twain podobnie jak Bret Harte jest „dziecięciem Sierry"; a odrębne stosunki życia i cywilizacyi nadały mu swe piętno. Lecz gdy Bret Harte swój przedmiot otula szatą poezyi, Marek Twain jest humorystą i satyrykiem. Dotyka on przeróżnych kwestyj, lecz szczególniej zwraca swą uwagę na ujemne strony życia publicznego. Nie jest to drwiący satyryk, który elegancką formą, z uśmiechem na ustach, lecz z zimnem sercem rani spółczesnych: on jest istotnym reprezentantem nowego świata; on nie każe się dorozumiewać swych myśli, nie osładza pigułek, któremi traktuje swych ziomków. Jaskrawo, dobitnie wskazuje on ujemne strony amerykańskiego społeczeństwa. Często i nam europejczykom dostanie się od Twaina, lecz satyra jego zwykle ma formę komicznej parodyi.— Mimo całej otwartości jego satyra nie rani, gdyż łączy się ona z taką oryginalnością myśli i z takim miłym, zdrowym humorem, że często mimowolnie odkładamy książkę by się uśmiać z jego dowcipu.

Marek Twain jest bezwątpienia największym humorystą Ameryki — a jest on tak oryginalnym, że sowicie opłaci się przeczytanie dzieł jego.

Kilka uczonych bajeczek dla dobrych starych chłopców i dziewcząt.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

W jaki sposób zwierzęta leśne wysyłają uczoną ekspedycyę.

Pewnego razu zwierzęta, mieszkańcy lasów zebrały się na ogólne posiedzenie i wybrały komisyę z najsławniejszych uczonych, której nałożono obowiązek wyprawić się do nieznanych, niezbadanych światów, by ustalić prawdziwość tego co w szkołach i uniwersytetach uczono, jak również poczynienia nowych odkryć.

Olbrzymie to przedsięwzięcie po raz pierwszy podjął cały naród. Wprawdzie wysyłał już rząd doktora Ropuchę z wyborową eskortą, by zbadał północno-zachodni bród przez moczary na kraju lasu, a następnie ruszyło kilka ekspedycyj dla wynalezienia Dr. Ropuchy; lecz niestety wszystkie usiłowania spełzły na niczem i rząd zaprzestał dalszych poszukiwań, wywdzięczając się jednak za zasługi naukowe Dr. Ropuchy, podniósł jego matkę do stanu szlacheckiego.

Następnie wysłał raz rząd barona Konika polnego, by zbadał źródła potoku wypływającego z moczarów, i znów ruszyło kilka ekspedycyj z ramienia rządu, by wyszukać barona, usiłowania te odniosły skutek pożądany — ciało Konika polnego znaleziono, lecz nieboszczyk nie mógł nic powiedzieć o zakwestyonowanych źródłach. Rząd wspaniałomyślnie zajął się zmarłym i wielu zazdrościło znakomitego pogrzebu baronowi.

Wszystkie te jednak wyprawy były zabawką wobec przedsięwziętej; ta miała w swem gronie największe znakomitości nauki, a prócz tego — jak już wspomnieliśmy—miała się udać w kraje zupełnie nieznane, które jak ogólnie wierzono, leżały po za lasem. Członkowie tej wyprawy wszędzie byli czczeni i chwaleni, wszędzie o nich mówiono, a gdy który z nich wyszedł na ulicę, zaraz otoczył go plebs, podziwiając męża nauki.

Wreszcie ruszyła wyprawa i z prawdziwą przyjemnością przypatrywano się temu orszakowi: najpierw szła długa procesya żółwiów lądowych, niosąc na swych barkach uczonych, instrumenta naukowe, świętojańskie robaczki i błyszczące muszki do sygnalizowania, zapasy pożywienia, mrówki i żuki do kopania i wyciągania, pająki do robót mierniczych i inżynierskich, i t. d. i t. d., po tym szeregu następowały żółwie wodne przeznaczone do służby jeziornej, morskiej i rzecznej, a każdy z żółwi ozdobiony był jaskrawą chorągiewką dumnie powiewającą, na czele tej wyprawy szła muzyka złożona z komarów, much, zielonych żabek i świerszczów, przegrywając marsze

wojenne; cała wyprawa była eskortowaną przez dwanaście pułków wyborowych robaków.

Po trzech tygodniach wyprawa dosięgła krańców lasu i ujrzała przed sobą olbrzymi, nieznany świat. Ich wzrok poił się pysznym widokiem. Była to wielka dolina przerżnięta wijącą się rzeką, a w dali na tle nieba zarysowywała się jakaś potężna przeszkoda lub rogatka, nieznana bliżej uczonym mężom. Żuk twierdził wprawdzie, że jest to ziemia, której granice otoczone są pagórkami, gdyż widzi zasadzone drzewa, jednakowoż profesor Ślimak i inni odrzekli:

„Pan, mości Żuku, zostałeś przeznaczony do kopania — i nic więcej. Potrzebujemy twej siły fizycznej, lecz nie umysłowej. Jeśli zechcemy zasięgnąć twych naukowych rad, nie omieszkamy pana zaprosić. Prócz tego niedorzeczne twe zapatrywania są wstrętne — tu siedzisz i mieszasz się do wzniosłej umiejętności, gdy inni obóz zakładają, spiesz się pan i bądź pomocnym w ich pracy".

Żuk obrócił się na pięcie — i wcale tem niezawstydzony zamruczał:

„Ha jeśli to nie jest uprawiona ziemia, niech umrę jak poganin".

Profesor Ropucha (kuzyn zmarłego a raczej zaginionego badacza i podróżnika) wygłosił zdanie, że krańce tego kraju stanowią prawdopodobnie wał otaczający całą ziemię. I mówił dalej:

„Nasi ojcowie zostawili nam wielką masę wiedzy, lecz nie podróżowali, zatem możemy ten wał jako wielkie odkrycie uważać. Nasza sława jest zabezpieczoną, choćby nasza praca i starania na tem się

tylko zakończyły. Radbym jednak wiedzieć, z jakiego materyału ten wał usypano? Miałyżby to być grzyby? Grzyby są w ogóle bardzo cennym materyałem budowlanym, zwłaszcza dla wałów".

Profesor Ślimak wyjął swój dalekowidz i poddał badaniu krytycznemu wał zagadkowy. Wreszcie przemówił:

„Fakt, że wał ten jest nieprzeźroczystym, upewnia mnie w mniemaniu, że jest to silna mgła powstała z rozgrzania wilgotnej powierzchni, a która przez refrakcyę jest kondenzowaną. Kilka prób endiometrycznych potwierdziły by moje zapatrywanie, lecz są w tym wypadku zbyteczne. Rzecz nie ulega już wątpliwości".

To powiedziawszy zsunął dalekowidz i wszedł do domku swego, by zapisać do księgi kilka uwag o kończynach świata i tychże rodzaju.

„Tęga głowa!" odezwał się profesor Dżdżownica do profesora Mysz polna, „nadzwyczajnie zdolny, nic nie zostanie skrytem i tajemniczem w obec jego rozumu".

Noc się zbliżała, świerszcze postawiono na posterunkach, zapalono lampy robaczka świętojańskiego i cisza, sen zaległy obóz.

Zaraz po śniadaniu wyprawa ruszyła dalej. Około południa natrafiono na wielką aleę, której boki stanowiły równoległe i bez końca zda się poręcze z czarnego, twardego materyału, znacznej wysokości, gdyż ich powierzchnia zaledwie po wielkiem natężeniu profesora Ropuchy równała się z jego karkiem. Uczeni wyleźli na te poręcze i badali je w różny sposób

Szli nią daleko, nie znaleźli jednak ni końca, ni przerwy. Sprawa była zagadkową. Roczniki wiedzy nic o podobnem zjawisku nie wspominały. W końcu łysy, poważny geograf profesor Żółw wodny — mąż, który własną i mozolną pracą zdobył sobie zaszczytne imię i sławę pierwszego geografa swego czasu, choć pochodził z nizkiej i ubogiej rodziny, rzekł:

„Przyjaciele, uczyniliśmy tu zaiste wielkie odkrycie. Oto znaleźliśmy rzeczywisty, widoczny, nie dający się zaprzeczyć ani zniszczyć dowód istnienia rzeczy, którą nasi ojcowie zaliczali zawsze do fantazyi. Upokórzcie się, moi przyjaciele, stoimy wobec faktu majestatycznego — to są równiki szerokości ziemi!"

Każde serce, każda głowa upokorzyła się przed wielkością tego odkrycia. Wielu płakało.

Obóz rozbito i resztę dnia poświęcono spisaniu całych tomów o tym cudzie i poprawiano tablice astronomiczne. Około północy usłyszano demoniczną wrzawę, syczącą, piszczącą i wkrótce przemknęło się straszliwe widziadło o błyszczącem oku, z olbrzymim ogonem i zniknęło w ciemnościach, wydawszy świst tryumfujący.

Biedni robotnicy obozowi przelęknieni do najwyższego stopnia, schronili się bezładnie do wysokiej trawy. Inaczej postąpili sobie uczeni. Ci byli wolni od zabobonów. Spokojnie rozpoczęli roztrząsać tę kwestyę. Zapytano starego geografa o jego mniemanie. Skrył się do swej skorupy i długo wertował książki. Gdy wyszedł, wszyscy poznali z jego twarzy, iż niesie światło. Rzekł:

„Złóżmy głęb okie dzięki Bogu, iż byliśmy świadkami niezwyczajnych rzeczy. — Jest to zrównanie wiosenne nocy!"

Głośne, radosne okrzyki odezwały się w koło.

„Lecz panowie", przemówił prof. Dżdżownica po chwili namysłu, „zdaje mi się, iż mamy lato".

„Bardzo słuszna uwaga", odparł p. Żółw, „to w naszej ojczyznie; lecz pora roku zmienia się z zmianą miejsca".

„Ach prawda! zupełna prawda! Lecz jest to noc, jakże może słońce w nocy się pokazać?"

„Zdaje się, że w tych stronach ono zawsze przechodzi w tej godzinie".

„Lecz jakim sposobem w ciemnej nocy widzieliśmy to słońce?"

„Jest to wielka tajemnica natury. Nie zaprzeczam. Jednakowoż jestem przekonany, że wilgoć powietrza w tych okolicach jest tak znaczną, iż zatrzymuje w sobie cząsteczki światła i właśnie za ich to pomocą ujrzeliśmy to zjawisko w otaczających nas ciemnościach".

Wyjaśnienie to uważano jako wyczerpujące i stosowny artykuł zapisano w księgach.

Lecz w tejże chwili okropny szum dał się słyszeć po raz wtóry i znów błyszczące i płomieniste oko z dymem, świstem i hałasem przebiegło i zniknęło w ciemnościach.

Mieszkańcy obozowi przeczuwali już śmierć. Uczeni stali pełni niepewności. Zjawisko to było trudnem do rozwiązania. Myśleli i mówili, mówili i myśleli. Wreszcie przemówił stary profesor Skrzeczek, który

straszliwie wychudł przy swych głębokich studyach, założył nogę za nogę i skrzyżował ręce usiadłszy poważnie:

„Pozwólcie mi, szanowni koledzy, wysłuchać wprzód waszych zdań, a następnie objawię moje zapatrywanie — sądzę, że rozwiązałem zagadkę".

„Ekscelencyo", zapiszczał pożółkły i zasuszony profesor Mszyca polna, „Ekscelencyo, ja będę mówić choć wiem, że nie mogę się równać z Ekscelencyą, gdyż tylko złote słowa mądrości usłyszymy z ust jego".

(Profesor Mszyca rozpoczął swą mowę olbrzymią ilością znanych, bez związku z przedmiotem zostających cytat ze starych poetów i filozofów, które wypowiadał z namaszczeniem i intonacyą w pierwotnej mowie, mamutów i innych potworów, w mowie umarłej).

„Być może, iż nie powinienem się ośmielać dotykać kwestyi, należącej w zupełności do dziedziny astronomii, a to w przytomności tak znakomitych powag na tem polu — ja, którego powołaniem jest badanie języka zamarłych pokoleń, wydobywanie skarbu i bogactwa ich podań i pieśni, a jednak upraszam was panowie o pozwolenie wyjawienia mego zdania w kwestyi należącej do tej niezmierzonej wiedzy astronomicznej, kwestyi zagadkowej, gdyż dziwne to zjawisko biegło w przeciwnym kierunku od poprzedniego, które wyjaśniliście jako wiosenne zrównanie dnia z nocą, zgodnie z szczegółami, otóż jest rzeczą możliwą, nawet pewną, że ostatnie zjawisko oznacza Jesienno-dniowo-nocne — —"

„Ale cóż znowu! Idź pan spać, mój panie!" odezwały się drwiące głosy.

Biedny profesor Mszyca zawstydzony, ukrył się w ciemny kącik.

Rozprawiano dalej, wreszcie wezwano ekscelencyę Skrzeczka by mówił, więc rozpoczął rzecz swoją:

„Szanowni towarzysze i uczeni mężowie, mam to głębokie przekonanie, że byliśmy świadkami zjawiska, które o ile wiadomo jedyny tylko raz widziano w takiej doskonałości i ekspresyi. Jest to zjawisko olbrzymiej doniosłości i znaczenia pod każdym względem, a dla nas tem ważniejsze, że mamy świadomość o jego istocie — świadomość, której nie przeczuwał żaden z mędrców i uczonych. Ten cud, którego byliśmy świadkami — tchu mi brakuje szanowni koledzy — ten cud powtarzam, jest nie mniej nie więcej tylko przejściem Venus!"

Niektórzy z uczonych powstali bladzi z żdziwienia — chwilę milczano — a następnie nastąpiły łzy, uściski i objawy różnego rodzaju wesołości i radości. Z czasem uciszyło się wzruszenie i weszło w właściwe granice; rozpoczęły się namyślania, a znakomity inspektor Jaszczurka przemówił:

„Lecz w jaki sposób fakt ten da się wytłómaczyć — gdy wspomniemy, że Venus przesuwa się po powierzchni słońca, a nie ziemi?"

Strzał był dobrze wymierzony. Smutek i rozczarowanie napełniły serca tych apostołów wiedzy, gdyż nikt nie może zaprzeczyć, iż była to straszliwa krytyka. Jednakowoż poważny ekscelencya podparł głowę i rzekł:

„Mój przyjaciel ugodził w samo serce tego odkrycia, tak — prawdą jest, iż wszyscy, co przed nami żyli, byli zdania, że Venus przesuwa się przez powierzchnię słońca, tak uczono, tak wierzono i nie dziw — usprawiedliwia ich brak doświadczeń, brak wiedzy, nam jednak przypadła w udziale ta nieoceniona łaska, dowieść przejścia Venus przez powierzchnię ziemi, *gdyż my to własnemi oczyma widzieli!*"

Zgromadzeni mężowie nauki siedzieli w niemem podziwieniu tego olbrzymiego rozumu. Jak ciemności rozpraszają się pod wpływem światła, tak zniknęły wszelkie wątpliwości.

Niepostrzeżony wsunął się teraz żuk pomiędzy uczonych, i to tego, to owego poklepał po ramieniu, uśmiechnięty z słowami „Zacny (pauza), zacny chłopcze!" A znalazłszy dogodne miejsce dla siebie zabierał się do przemówienia, lewą rękę założył z tyłu, tak że ledwie łokieć z pod fraka wyglądał prawą nogę zgiął, palcami opierając się na ziemi a obcasem o lewą nogę, z wdziękiem burmistrzowskim wysunął swój brzuszek przed siebie, otworzył usta, oparł się prawym łokciem o grzbiet inspektora Jaszczurki i —

Inspektor Jaszczurka z oburzeniem odsunął się od śmiałka i biedny żuk leżał na ziemi. Po chwili uśmiechnięty powstał, znów zajął swą poprzednią wystudyowaną pozycyę — tylko że wsparł się na profesorze Pchła polna — otworzył już usta i znów padł na ziemię.

Natychmiast powstał i ciągle jeszcze uśmiechnięty otrzepywał kurz i proch z fraka i spodni, lecz nie-

nważnie uderzył się w lewą nogę, stracił równowagę zaplątawszy się w spodniach i tak padł drżący i skurczony na piersi prof. Skrzeczka.

Dwu czy trzech uczonych mężów poskoczyło, schwycili nieokrzesanego Żuka i rzucili nim w kąt, a udekorowanego ekscelencyę pocieszali grzecznemi i współczującemi słowami.

Profesor Ropucha krzyknął jednak strasznym głosem:

„Nadal, mości Żuku, zachowaj należytą granicę, powiedz co masz powiedzieć, a potem wynoś się do swej pracy — teraz zaś, mów — tylko prędko! A więc... odstąp trochę, obrzydliwie cznć cię stajnią — a więc?“

„Za pozwoleniem (łkanie), za pozwoleniem, wielmożni panowie, przypadkowo odkryłem. Ale co (pauza), ale to — nie należy do rzeczy. Zrobiono drugie odkrycie, lecz — za pozwoleniem, wielcy uczeni, co to — było to — co ot przeleciało niedawno!?“

„To było wiosenne aequinoctium.“

„Diabelskie, diabelskie aequidoxium! Mniejsza z tem — nie znam go. A co było to drugie?“

„Przejście Venus.“

„He — he — he — otóż byłbym się znów złapał. Nic nie szkodzi. To ostatnie upuściło coś.“

„Ach to oznacza, szczęście, dobrą nowinę — prędzej, cóż to jest?“

„Sami musicie pójść i popatrzeć. Warto widzieć.“

Dwadzieścia cztery godzin nic nie robiono. Po upływie tego czasu zapisano do naukowego dziennika:

„Komisya udała się in corpore, by zbadać to nowe odkrycie. Był to przedmiot znacznych rozmiarów, gładki, twardy, z zaokrąglonym końcem, z wystającem przodem.

„Nie był ten przedmiot masywnym, lecz wewnątrz próżnym cylindrem, napełnionym miękką drewną substancyą, nieznaną u nas, t. j. był on w szczególny sposób tą substancyą napełniony, lecz niestety p. Szczur z Norwegii, dowódzca saperów, wyjął tę substancyę zanim przybyliśmy na miejsce. Przedmiot ten spadły z niebieskiego przestworza okazał się napełnionym jakąś ostrą cieczą, barwy brunatnej, podobny do przestałej deszczówki.

„Jakiż to widok zobaczyliśmy! Pan Szczur z Norwegii przysiadł koło otworu, maczał swe wąsy w płynie i dozwalał ssać je otaczającym robotnikom.

„Prawdopodobnie płyn ten posiada szczególne właściwości, gdyż każdy, który go skosztował, doznawał silnych ale przyjemnych wrażeń. Poruszali się niepewnie, śpiewali piosnki uliczne, ściskali i bili się, tańczyli, klęli bezbożnie i drwili sobie z władzy. W koło nas wrzeszczał motłoch — dziki i swawolny, gdyż cała armia wraz z posterunkami skosztowawszy tego płynu była szaloną.

„Zostaliśmy porwani i nim przeszła godzina, nawet *my* zrównaliśmy się z krzykliwą rzeszą — demoralizacya była zupełną i ogólną. Po jakimś czasie orgie te ucichły i cały obóz został pogrążony w głębokim śnie a w jego objęciach zapomniano o godności i stanowisku, każdy z nas miał dziwnych

towarzyszów — cóż ujrzały nasze oczy? oniemieliśmy z oburzenia na widok, jak ten wstrętny, śmierdzący zamiatacz ulic, obrzydliwy Żuk wspólnie z wysoko urodzonym, arystokratycznie wychowanym, ekscelencyą, tajnym radcą dworu prof. Dr. Skrzeczkiem, leżał w głębokim śnie w czułym uścisku — był to widok, nie widziany w minionych stuleciach o których wspomina historya i bezsprzecznie nikt, nigdy na świecie nie uwierzyłby nam, gdybyśmy ten bezbożny i wstrętny obraz sami nie oglądali. Niezbadane są wyroki Opatrzności i drogi Pana, niech się stanie wola Jego!...

„Dziś, naczelnik inżynierów p. Pająk, zarządził potrzebne roboty około obalenia olbrzymiego rezerwoaru, a płyn został wylany na ziemię, która go natychmiast wsiąknęła, zatrzymaliśmy kilka kropel potrzebnych do badań i eksperymentów, również dla pokazania królowi, a wreszcie do przechowania go pomiędzy innemi cudownemi zdobyczami w muzeum. Czem jest ten płyn właściwie — już rozstrzygnięto. Nie ulega wątpliwości, iż jest to owo niszczące fluidum, nazwane błyskawicą. Z chmur powietrznych siłą biegu planety zostało wraz z naczyniem wyrwane i na ziemię rzucone.

„Zrobiliśmy bardzo ciekawe odkrycie, a mianowicie, że błyskawica sama przez się jest spokojną; i dopiero nieprzyjazne uderzenie maczugi grzmotu, wyzwalające błyskawicę z więzów, zapala ogień i powoduje natychmiastową eksplozyę i spaleniznę, szerzącą się po całej ziemi, wszystko paląc i niszcząc.“

Wypocząwszy jeszcze dzień jeden, wyprawa ruszyła naprzód i rozbito obóz w przyjemnej dolinie — a uczeni ruszyli w pole, celem dalszych poszukiwań.

Ich trudy zostały natychmiast nagrodzone. Prof. Ropucha odkrył dziwne drzewo i zwołał swych towarzyszów. Badano go z wielką troskliwością. — Drzewo było bardzo wysokie, równe, bez kory, gałęzi i liści. Za pomocą triangulacyi oznaczył Radca tajny, prof. Skrzeczek jego wysokość; Pan Pająk wymierzył jego objętość u podstawy i za pomocą matematycznej formułki obliczył objętość jego u szczytu. Odkrycie to uważano jako nadzwyczaj ważne; a że drzewo to było nieznanego dotychczas gatunku, więc profesor Mszyca nadał mu nazwisko dziwnego brzmienia, które było ni mniej ni więcej tylko tłómaczonem w języku mamutów nazwiskiem prof. Ropuchy, gdy jest to zwyczajem uczonych, uwieczniać swe nazwiska przez połączenie ich z zrobionemi odkryciami.

Profesor Mysz polna przyłożywszy swe delikatne ucho do drzewa posłyszał tony harmonijne. Szczegół ten był badany przez każdego uczonego po kolei i wielką była ich radość. Profesor Mszyca leśna został wezwany do uzupełnienia nazwiska tego szczególnego drzewa — uczynił zadość ogólnemu życzeniu dodawszy słowa „mól śpiewający“ w języku mamutów.

Tymczasem prof. Ślimak wyjął swe szkła i spostrzegł, że wielka ilość podobnych drzew w regularnych odstępach wyrasta, tak ku północy jak i ku

południowi. Również ujrzał ten mąż uczony dziwne połączenie szczytów drzew za pomocą 14 lin, ciągnących się w tymże samym kierunku.

To było zadziwiające. Nadinżynier Pająk wylazł na drzewo i sprawdził, iż liny te były przędzą silnie tkaną przez jakiegoś olbrzyma z jego rodzaju, wiszące resztki szmatek i innych nieznanych kawałków każą się domyślać skóry zewnętrznej zaginionych owadów, które tu śmierć znalazły.

Wszedł wreszcie na linę, by ją bliżej zbadać, lecz wkrótce poczuł pieczenie w piętach i silne uderzenie, szybko spuścił się na ziemię po swej własnej nici i zawiadomił uczonych, iż może ów potwór się zbliża, więc lepiej udać się do obozu — usłuchano też natychmiast tej rozsądnej rady, lecz podczas drogi spisano spostrzeżenia o olbrzymiej przędzy.

Tegoż samego wieczora badacz przyrody należący do ekspedycyi wykonał piękny model olbrzymiego pająka, do wykonania tegoż nie potrzebował go widzieć, starczył mu znaleziony pod tym drzewem kawałek kości pacierzowej, a wyrysował całe zwierzę, wyjaśnił jego zwyczaje i obyczaje. Dał mu ogon, zęby, czternaście nóg, paszczę olbrzymią i powiedział, że zwierzę to je zarówno trawę, zwierzęta, krzemienie i błoto.

Zwierzę to uważano jako nadzwyczajne wzbogacenie nauki. Spodziewano się odnaleść jeszcze jaki nieżywy egzemplarz nadający się do wypchania. Profesor Mszyca był zdania, iż możeby się udało schwycić to zwierzę żywcem, gdyby wszyscy ukryli się w zasadzce nań zrobionej. Odpowiedziano mu niechaj

sam sprobuje, gdy umie tak odważnie radzić. Naukowe rozprawy zakończyły się przezwaniem potworu według nazwiska badacza natury, który go narysował, gdyż on po Bogu go stworzył.

„I prawdopodobnie poprawił," mruknął niepoprawny Żuk, który według swego zwyczaju i powodowany nienasyconą ciekawością, znów się wcisnął pomiędzy uczonych.

CZĘŚĆ DRUGA.

Jak zwierzęta uzupełniają swe prace naukowe.

W tydzień później wyprawa rozbiła swój obóz w pośród zbiorowiska cudownych osobliwości. Tworzyły one rodzaj pieczar kamiennych, które bądź pojedyńczo, bądź też w grupach stały nad rzeką, którą spostrzeżono w chwili wyjścia z lasu.

Pieczary te stały w długich, równych szeregach a niektóre z nich były otoczone drzewami. Najwyższy punkt każdej z tych pieczar spływał w dwu pochyłych płaszczyznach. Ściana frontowa każdej pieczary miała czworoboczne otwory zasklepione cienką, połyskliwą, przejrzystą substancyą. Wewnątrz tych pieczar, były pomniejsze pieczary i można je było zwiedzić idąc w górę po dziwnie wijącej się drodze, ułożonej z regularnie ustawionych desek na kształt tarasów.

Znaleziono tam mnóstwo niekształtnych olbrzymich przedmiotów, o których sądzono, że niegdyś żyły, albowiem powłoka ich, skóra okrywająca ich

za życia pod dotknięciem szeleściała. Spotkano tu wielką ilość pająków i ich przędzę, rozwieszoną w najrozmaitszych kierunkach po zamarłych tych stworzeniach, był to miły widok, gdy wśród upadku i opustoszenia widziano życie, wesołość i zabiegi pająków.

Starano się zasięgnąć bliższej wiadomości u pająków, lecz nadaremnie. Były one innej narodowości, aniżeli te, które towarzyszyły ekspedycyi, a mowa ich, zdała się być złożoną z nosowych i gardłowych brzmień bez głębszego znaczenia. Była to rasa skromna, cicha i łagodna, lecz bez wykształcenia i wyznająca pogańską religię.

Ekspedycya wybrała z swego grona znaczną liczbę misyonarzy, by nawrócić tych pogan i dać im poznać prawdziwą religię i oto w ciągu jednego tygodnia okazały się owoce tego ze wszech miar godnego dzieła, gdyż w owym już czasie nie można było znaleść i trzech rodzin, któreby w zgodzie żyły lub też niezachwianie wyznawały jakąkolwiek religię. To skłoniło ekspedycyę do utworzenia stałej osady misionarzy, by i nadal szerzyli i opowiadali słowo boże.

Lecz nieuprzedzajmy wypadków. Po troskliwem zbadaniu tych jaskiń i pieczar, po dłuższej dyskusyi i rozważaniu, zebrani uczeni zgodzili się wreszcie w zasadniczych punktach. Uradzili, że w gruncie rzeczy, każda z tych jaskiń należy do epoki czerwonego piaskowca, że część frontowa wznosząca się w górę warstwami dziwnie regularnemi, mniej więcej grubości pięciu żabich piędzi jest jednem

z najdonioślejszych odkryć w dziedzinie geologii; gdyż pomiędzy każdą warstwą czerwonego piaskowca, znajduje się warstwa cienka rozrobionego wapna zmięszanego z piaskiem; a więc zamiast przyjętej jednej tylko epoki czerwonego piaskowca, takich epok było co najmniej sto pięćdziesiąt. A według tegoż obliczenia, jest rzeczą niewątpliwą, że było sto pięćdziesiąt potopów, jak zresztą wskazują ciemne warstwy wapienia. Logicznym wynikiem takiego rozumowania, był ten zaprzeczyć się niedający pewnik, że ziemia nasza istnieje nie dwakroć sto tysięcy lat, lecz miliony, milionów lat!

I jeszcze jedna osobliwość: każda czworoboczna starożytna część czerwonego piaskowca, była z matematyczną ścisłością oddzielona od drugiej pionową warstwą wapienną. Że w epoce neptunicznej kamienne warstwy się układały, to było rzeczą wiadomą, lecz tu był pierwszy przykład, iż siłą wody kamienne warstwy w górę były pędzone. Było to znakomite odkrycie, a ważność tegoż dla wiedzy uznano jako nieocenioną.

Krytyczne zbadanie tuż przy ziemi biegnących warstw udowodniło współistnienie mrówek i żuków; te znajdowały się w swym zwykłym żywiole — i z wielką radością zapisano ten fakt w nankowym dzienniku, gdyż udowadniał on, że ci niepocześni robotnicy należą do pierwotnych i najniższych gatunków, chociaż z drugiej strony smutno było pómyśleć, że według tajemniczych praw rozwoju gatunków i wyższe i najdoskonalsze nawet stworzenia od tych pariasów pracowitych powstały.

Żuk, który przysłuchiwał się tym wywodom, rzekł, iż czuje się dumnym i zadowolonym znajdując swych prapraojców w tak pierwotnych czasach i gdy może się pochlubić spokrewnieniem genealogicznem z najdawniejszą arystokracyą kraju. Zarazem oświadczył, że podziela radość i upodobanie nowszej generacyi w powtarzaniu i dowodzeniu poprzednio wymienionych teoryj.

„Cieszcie się waszą nowoupieczoną godnością, gdy się to wam podoba", mówił on, „my żuki jesteśmy dumni naszem starożytnem pochodzeniem, naszemi praojcami, którzy składali swe jajeczka w takim samym wonnym żywiole jak my i tutaj oto, wśród różnych skamieniałości zostawili ślady swej bytności na świadectwo ubiegłych wieków i swej niezmordowanej pracy!"

„Racz pan użyć świeżego powietrza i przechadzki!" odpowiedział mu drwiąco naczelnik ekspedycyi naukowej.

Lato już mijało a zima poczęła zapowiadać swe przybycie. Na jaskiniach i w pieczarach spotykano coś, co się równało napisom. Większość uczonych była skłonną uznać to jako napisy, kilku się sprzeciwiało. Najznakomitszy lingwista ekspedycyi, profesor Mszyca leśna, twierdził, iż to były znaki pisarskie, znaczenie i charakter tego pisma był jednakowoż nieznany badaczom języków. Polecił on wprzód jeszcze swym pomocnikom i rysownikom porobić kopie wszystkiego co tylko odkrytem zostanie a sam postanowił wyszukać klucza do nieznanej mowy. Przy rozwiązaniu tego zagadnienia posługiwał się on metodą, używaną zawsze przez badaczów, a mianowicie

kładł przed sobą facsimilia napisów i studyował je nietylko razem ale i z osobna. Gdy przystępował do tej pracy miał przed sobą następujące kopie:

Hotel Europejski.
Lampy.
Łodzie do najęcia tanio.
Francuzkie billardy.
Salon do golenia.
Obiady o każdej porze.
Zabrania się palenia cygar i papierosów.
Nieszpory rozpoczynają się o godzinie 4-tej
Gazeta Codzienna.
Urząd telegraficzny.
Nie wolno chodzić po trawnikach.
Guyotta pigułki.
Letnie mieszkania do najęcia
Bardzo tanio do sprzedania.
Bardzo tanio do sprzędania.
Bardzo tanio do sprzedania.
Bardzo tanio do sprzedania.

Z początku zacny profesor był zdania że jest to język, którego każdy wyraz wyrażony jest odrębnym znakiem. Ściślejsze jednak badanie przekonało go, że ma on do czynienia z pismem alfabetycznem i każda litera alfabetu zastąpioną jest osobnym znakiem, a wreszcie nabył przekonania, że napisy te należą do języka składającego się częścią z liter, częścią zaś ze znaków lub hieroglifów.

Zauważył on, że pewne napisy częściej się powtarzały. I tak np. „Bardzo tanio do sprzedania. — Billardy francuzkie. — Piwo z beczki". Oczywista, iż

musiały to być dogmata religijne. Lecz po bliższem badaniu musiał zaniechać podobnego tłómaczenia, gdyż wytrwałej jego pracy udało się rozwiązać zagadkowość tego pisma. Wkrótce był w możności różne napisy mniej więcej dość wiernie na zrozumiały język przełożyć, chociaż wielu uczonych było innych przekonań. Tymczasem czynił on dalsze, nieustające postępy w odczytywaniu pisma.

Wreszcie odkryto pewną jaskinię z następującym napisem:

Muzeum nad brzegiem.

Zawsze otwarte. Wstęp 50 groszy.

Znakomity zbiór figur woskowych, wykopalisk przedhistorycznych i t. d.

Profesor Mszyca był zdania, że słowo „Muzeum" ma podobne znaczenie jak „Lumpath Molo" czyli „cmentarz". Zaraz na wstępie uczeni mężowie stanęli nadzwyczaj zdziwieni. To co ujrzeli, niepodobna dokładniej opisać jak cytując odpowiedni ustęp z oficyalnego sprawozdania:

„W postawie stojącej, w jednym szeregu znaleźliśmy pewien rodzaj wielkich, sztywnych postaci, które się nam przedstawiły od pierwszego rzutu oka jako zabytki dawno wymarłego gatunku płazów znanego pod nazwą *człowieka* — gatunku, który w naszych starych naukowych rocznikach jest opisany. Było to znakomite odkrycie, gdyż w ostatnich czasach stało się modą, stworzenie to jako podaniowe uważać, a istnienie tegoż kłaść na karb zabobonów i bujnej fantazyi naszych praojców. Tu jednak był człowiek zachowany w stanie skamieniałości. A ta

jaskinia była cmentarzem, jak to sam napis wskazuje. I w tejże chwili zabłysła nam myśl, że zwiedzane poprzednio jaskinie były jego pomieszkaniem w owych dawnych czasach, gdy jeszcze chodził po ziemi — gdyż na piersiach każdej z tych postaci, w języku odczytywanych napisów czytaliśmy następujące słowa. Oto np.: „*Kapitan Kidd, rozbójnik morski*", dalej: „*Królowa Wiktorya*", inny: „*Abraham Lincoln*", jeszcze inny: „*Jerzy Washington*" i t. d.

„Z gorączkową niecierpliwością wertowaliśmy w naszych starych rocznikach, by się przekonać czy znajdujący się tam opis człowieka zgadza się z odkrytem wykopaliskiem. Prof. Mszyca odczytał szukany ustęp w przestarzałej mowie zeszłych stuleci. Brzmiał on:

„W czasach, gdy żyli nasi ojcowie, wiemy z podania, że wówczas żył człowiek na ziemi. Było to stworzenie nadzwyczajnej wielkości, okryte ruchliwą skórą; ta była bądź to jednostajnej barwy, bądź różnobarwna, a według upodobania mógł ją zrzucać; gdy to uczynił, okazywały się na tylnych nogach krótkie pazury, podobne do kretowych, lecz szersze, gdy znów przednie łapy uzbrojone były palcami smuklejszemi od żabich a opatrzonymi również w pazury do wygrzebywania z ziemi pożywienia. Na głowie miał on rodzaj pierza, raczej sierści podobnej do szczura, lecz dłuższą; prócz tego miał on dziób opatrzony zmysłem powonienia, który mu pomagał w wyszukiwaniu pożywienia. Gdy się czuł szczęśliwym, wówczas oczy jego wylewały kroplami wodę, gdy znów smutek lub ból mu dolegał, to

okazywał to przez straszliwy, piekielny, długo trwający okrzyk gardłowy; strach brał słysząc ten głos i mimowolnie owładało nami życzenie, by ten człowiek już raz zginął lub umarł, a tem samem położył kres swym cierpieniom. Spotkało się dwu ludzi, to wydawali odgłos, który mniej więcej brzmiał: „Ho, ho, ho — przeklęcie dobrze, przeklęcie dobrze!" — prócz tego wydawali inne tony i brzmienia, z tego to powodu nasi poeci sądzili, że człowiek *mówi;* lecz poeci jak poeci, niech Pan Bóg zlituje się nad nimi, miewają czasem dziwaczne wybryki i wszystko im uchodzi. Czasami człowiek chodził z dziwnym kijem, który przyłożony do twarzy, nagle, zaiste przeklęty hałas wydawał, śmiertelnym strachem napełniający jego zdobycz, gdyż dymem i ogniem zionął ten kij, a następnie brał ten kij w swe pazury i kierował się ku swemu mieszkaniu przejęty dziką, szatańską radością" ".

„Otóż teraz opis człowieka, kreślony ręką naszych praojców, mogliśmy naocznie sprawdzić w najmniejszych szczegółach na znalezionych zabytkach skamieniałych. Egzemplarz, z etykietą „Kapitan Kidd" został szczegółowo zbadany. Jego głowa i niektóre części jego twarzy pokryte były futrem, podobnem do włosieni końskiego. Z wielkim trudem zdjęliśmy jego wierzchnią, ruchomą skórę a pod nią znaleźliśmy ciało o białej, gładkiej, skamieniałej tkaninie. Słoma, którą zjadł przed kilkoma wiekami, była jeszcze w brzuchu — a nawet w nogach.

„Obok tych zabytków znachodziły się przedmioty, które są bez znaczenia dla nieświadomych, w obliczu

wiedzy jednak były objawieniem. One kryły w swem łonie tajemnice minionych wieków. Te odwieczne przedmioty odsłaniały nam czasy istnienia człowieka i jego zwyczaje. Tu bowiem obok człowieka znaleźliśmy dowody jego współistnienia z stworzeniami niższych gatunków, należących do owych mrocznych czasów. — Tu znajdował się skamieniały nautilus, żeglujący niegdyś po jeziorach praświata; tu był szkielet mamuta, ichtyozaura, niedźwiedzia jaskiniowego i olbrzymiego rena. Jak również znaleźliśmy w tem miejscu zwęglałe kości kilku zaginionych zwierząt i ludzkie również rozłupane wzdłuż, co udowadnia, że przysmakiem dla człowieka był zawarty w kościach szpik.

„Było widocznem, że człowiek i tylko człowiek mógł te kości rozłupać i złakomić się na ich zawartość, gdyż nie spostrzeżono na nich żadnego znaku lub porysowania zębem zwierzęcym, jednak żuk ośmielił się zrobić tę uwagę, iż „żadne zwierzę nie zaznacza kości gryzionej zębami". — Tu znajdowały się dowody istnienia u człowieka pierwszych, mglistych pojęć o sztuce, gdyż na niektórych przedmiotach były napisane niezrozumiałe słowa: *kamienna strzałka, nóż, ostrze krzemienne i ozdoby kościane człowieka pierwotnego!*

„Niektóre z tych przedmiotów zdawały się być bronią krzemienną, a w ukrytem miejscu znaleziono inne niewykończone wraz z niezrozumiałą i niedającą się przetłomaczyć karteczką:

„„Janie, jeśli nie chcesz być wypędzonem z mego musseum, to rób lebszy broni pirwotnych czasuf —

ostatnią rasą twymi eksemblażami nie moszna było sdurzyć stare baby małpujące mondrość. A nie zapomnij, że zwierzęta rysowane przez ciebie na ozdopach kościanych son za dobre na szlowieka pierwotnego.

Barnum, Dyrektor.""

Po za tą jaskinią z pogrzebanemi ludźmi znaleziono kupę popiołu, co udowodnia, że człowiek zawsze przy pogrzebach używał jedzenia i picia — zkądże bowiem znalazłby się tam popiół? — a wreszcie musiał wierzyć w Boga i nieśmiertelność duszy — w przeciwnym bowiem razie pocóż te ceremonie?

„A teraz reasumując to wszystko poprzednie przychodzimy do ogólnej zasady:

„Wierzymy, że człowiek posiadał mowę pisaną. *Wiemy*, że rzeczywiście on istniał kiedyś, a więc nie jest stworzeniem podaniowem; dalej był on współczesnym niedźwiedziowi jeskiniowemu, mamutowi i innym zamarłym gatunkom zwierząt; że nie tylko żywił się niemi i ich kośćmi, lecz także swemi dziećmi, że nosił broń pierwotnego kształtu i miał mgliste pojęcie o sztuce; że wyobrażał sobie jakoby miał duszę i cieszył się fantastycznem marzeniem iż jest nieśmiertelnym. Nie drwijmy i nie śmiejmy się z tych wyobrażeń; gdyż może znajdą się stworzenia, dla których śmieszną będzie nasza próżność i nasza tak głęboka uczoność".

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tuż nad brzegiem płynącej rzeki znaleźli mężowie nauki olbrzymi, ładnie rzeźbiony kamień z następującym napisem:

„Na wiosnę roku 1847 wystąpiła rzeka z swego koryta i zalała całe miasto w głębokości od dwu do sześciu stóp. Przeszło 900 sztuk bydła zginęło w falach a mnóstwo domów zostało zniszczonych. Burmistrz miasta rozporządził na pamiątkę tego zdarzenia wystawić ten kamień. Niechaj Bóg nas ustrzeże od powtórzenia takiej powodzi!"

Po olbrzymich trudach udało się prof. Mszycy przetłómaczyć ten napis, który natychmiast posłano do kraju, gdzie wywołał olbrzymie wrażenie, albowiem udowadniał prawdziwość pewnego starożytnego podania. Tłomaczenie cierpiało wprawdzie na wierności, gdyż kilka słów było niezrozumiałych, jednakże ogólne znaczenie zawartej myśli było widoczne. Tłómaczenie to brzmiało:

„Przed tysiąc-ośmiuset-czterdziestu-siedmiu laty spadł (ogień?) i zniszczył całe miasto. Uratowano tylko dziewięćset dusz, inne zginęły. (Król?) kazał postawić ten pomnik, by... (nie można odczytać)..... uniknąć powtórzenia".

Było to pierwsze udatne i zadowalające tłómaczenie, odsłaniające tajemnicę wieków i zdarzeń zaszłych za czasów wymarłego człowieka. Fakt ten przyniósł taką sławę prof. Mszycy, że wszystkie uczone towarzystwa w kraju mianowały go swym członkiem honorowym, a ogólna opinia wyraziła swe zdanie, iż gdyby sławny prof. był żołnierzem i wysłany na zniszczenie plemienia płazów nieprzyjaznych państwu, pokazał w tej wojnie swe olbrzymie talenta, byłby go król nobilitował i szczodrze obdarzył. Następstwem tego odkrycia prof. Mszycy było utwo-

rzenie szkoły uczonych, zwanych antropologami, których specyalnością jest badanie i odcyfrowywanie starych zabytków, pozostałych po wymarłym już ptaku znanym pod nazwą gatunkową „człowiek?" (Nauka bowiem udowodniła, że człowiek był ptakiem a nie płazem). Prof. Mszyca był założycielem i głową tego stowarzyszenia naukowego, albowiem wiadomo jest, iż tylko jego tłómaczenia i odczytywania są bezbłędne. Inni mogli błądzić — on zdaje się był uwolniony od usterek i nieporozumień.

Jeszcze kilka zabytków po wymarłej rasie znaleziono, lecz żaden nie osiągnął takiej sławy i znaczenia jak „burmistrzowski kamień" — gdyż tak nazwano go z powodu przychodzącego w napisie wyrazu „burmistrz", przetłómaczonego przez prof, Mszycę na króla — więc słowa „burmistrzowski kamień" były tylko odmienną nazwą kamienia królewskiego.

Innym razem zrobiła ekspedycya nowe odkrycie. Była to wielka, okrągła, dość płaska masa, długa na dziesięć, a gruba na pięć do sześciu piędzi żabich. Prof. Ślimak włożywszy okulary na nos badał ją ze wszech stron, wreszcie wylazł na wierzch, zbadał powierzchnię. I rzekł:

Rezultaty mego badania i perlustryacya tej izoperimetrycznej protuberancyi przekonały mnie że mamy tu do czynienia z dziwnym a bardzo interesującym utworem, pozostałym po twórcach grobów kamiennych. Fakt, że formacya tego zabytku jest lamellibranchiatyczna, potęguje jego ważność, gdyż roczniki naukowe nie wspominają o takim rodzaju, to jednak nie umniejsza jego autentyczności. Niechaj

uderzy w róg konik polny, by się tu stawił próżniaczy żuk, gdyż musimy przedsięwziąć badania ściślejsze przez odkopanie a nauka zyska nowe skarby".

Lecz żuka nie znaleziono a zabytek został przekopany pracą mrówek. Nic nie odkryto. Byłoby to wielkiem odczarowaniem, gdyby nie szanowny prof. Skrzeczek — rzekł on:

„Jest dla mnie rzeczą widoczną, że tajemniczy i zapomniany ród budowniczych grobów kamiennych — nie zawsze stawiał te pomniki jako groby, gdyż bylibyśmy tu odnaleźli szczątki ciał — wraz z pierwotnemi narzędziami, których używał. Czyż to nie jasne?"

„Prawda, prawda!" odezwały się głosy.

„Zrobiliśmy zatem moi panowie odkrycie szczególnego rodzaju — odkrycie które rozjaśnia nam tajemnice i ciemności okrywające te dziwaczne a mało znane stworzenia — jest to odkrycie przynoszące chlubę i sławę naszej naukowej wyprawie, a przez które zyskamy oklask całego świata uczonego. Brak bowiem szczątków w tym zabytku oznacza nam nie mniej ni więcej, tylko że: twórcy grobów kamiennych i mogił ziemnych, zamiast być nieokrzesanymi i dzikiemi płazami, o których nas niegdyś w ten sposób pouczano, byli stworzeniami ucywilizowanemi i wysokiej inteligencyi, zdolnemi nietylko czyny swych wielkich i znakomitych współobywateli należycie oceniać, lecz je uwieczniać! Panowie, w obliczu nauki — olbrzymi ten wał ziemny nie jest grobem lecz — — pomnikiem!"

Mowa ta zrobiła wielkie wrażenie.

Jednak zostało one przerwane śmiechem obrzydliwym i drwiącym — i żuk się okazał.

„Pomnik!?" mówił on. „Pomnik wzniesiony przez budowniczych wałów ziemnych! Aha, jest on nim chyba w obliczu głębokiej wszystko rozjaśniającej wiedzy, lecz w oczach zwykłego śmiertelnika, który nie uczęszczał na uniwersytet i nie jest członkiem rzeczywistym akademii umiejętności, nie jest to pomnikiem w literalnem znaczeniu tego słowa, lecz zawsze rzeczą szlachetną i pożyteczną — i za pozwoleniem waszem łaskawi panowie, ośmielę się jajeczka, me przyszłe potomstwo tam włożyć i zmienić go na bardzo przyjemną siedzibę dla nas żuków i — —"

Żuk został kijami obity, a rysownicy wyprawy zostali zawezwani zdjąć widoki tego pomnika z różnych stron, podczas gdy prof. Mszyca, wiedziony gorliwością naukową w nadziei znalezienia jakichś napisów, obchodził i badał ten pomnik we wszystkich kierunkach. Lecz, jeśli i był kiedyś napis, został albo zniszczony wpływami powietrza albo też wandal jaki wziął go z sobą jako relikwię.

Gdy pomnik należycie odrysowany został, uradzono powierzyć go czterem żółwiom do przewiezienia do kraju i ustawienia w muzeum królewskiem. A gdy zabytek ten przybył do kraju, przyjęto go z niesłychaną pompą i tysiące współobywateli towarzyszyło mu do miejsca przeznaczenia — co więcej, król Ropucha XVI raczył wziąć udział w tym pochodzie i raczył siedzieć na pomniku jako na tronie.

Zbliżająca się z każdym dniem zimna pora roku, wzywała uczonych mężów na ten raz zaprzestać dalszych poszukiwań. Zarządzono powrót. Lecz nawet ostatni dzień w jaskiniach nie był bez pożytku. Jeden z uczonych bowiem znalazł w samym rogu muzeum czyli „cmentarzyska" bardzo dziwny i niezwyczajny przedmiot. Nie mniej nie więcej tylko podwójnego człowieko-ptaka, który piersiami w naturalny sposób był złączony, a na nim wisiała karta z niedającemi się przetłómaczyć słowami: „Siamscy bracia". Oficyalne sprawozdanie o tym zabytku brzmi:

„Zdaje się więc, że w dawnych czasach istniały równocześnie dwa rodzaje tego majestatycznego ptaka, jeden pojedyńczy, drugi podwójny. Przyroda dla wszystkich jest matką: — w obec nauki jest rzeczą jasną, że podwójny człowiek zamieszkiwał pierwotnie okolicę rojącą się niebezpieczeństwami; z tych to powodów rodził się podwójnym, by w chwili spoczynku jednej części, druga czuwała; a w razie niebezpieczeństwa była zawsze do obrony siła podwójna. Cześć nauce i wiedzy, które odsłaniają tajemnice i przed któremi, jak przed Bogiem nic nie ma skrytego!"

W bliskości podwójnego człowieko-ptaka znaleziono coś, co zdawało się być starożytnem pismem tegoż stworzenia na niezliczonych kartkach białej, cieniutkiej materyi razem oprawione. Pierwszy rzut oka prof. Mszycy odsłonił mu następujące natychmiast przez niego przetłómaczone słowa, a które z radosnem drżeniem przedłożył swym uczonym towarzyszom — i każde serce zabiło gwałtownie z żdziwienia i radości — :

„W samej rzeczy, wielu sądzi, iż niższe zwierzęta posiadają rozum i mówią z sobą".

Gdy wielkie urzędowe sprawozdanie z wyprawy się okazało, zdanie to opatrzono następującym komentarzem:

„A więc są jeszcze niższe twory aniżeli ludzie! Innego znaczenia to zdanie mieć nie może. Ród ludzki wymarł, lecz *one* mogą jeszcze istnieć. Czemże być mogą? Gdzie przemieszkują?..... Myśl jakie to nowe, niebadane światy odkrywają się dla wiedzy napełnia nas zachwytem. Zamykamy naszą pracę tą uniżoną prośbą, by Wasza Królewska Mość raczył bezwłocznie zamianować komisyę i jej poruczyć, nie spocząć ani szczędzić wydatków, póki poszukiwania za temi niższemi tworami, o których i przeczucia myśmy nie mieli, pomyślnym skutkiem uwieńczone nie zostaną".

Po długiej nieobecności i wielu trudach, wróciła wreszcie naukowa ekspedycya do kraju rodzinnego i z wdzięcznością została przyjętą przez cały kraj z należytemi honorami.

Naturalnie znaleźli się próżniacy i nieoświeceni, złośliwi głupcy — ale tacy zawsze byli i zawsze będą na świecie — a pomiędzy niemi był oczywiście i żuk. Mówił on, że w tej podróży nauczył się on tylko tyle, iż nauce i wysokim umiejętnościom starczy mała garstka domysłów, by zbudować całą górę udowodnionych i pewnych faktów, a na przyszłość postanowił on, zadowolić się przekonaniem, że przyroda uposażyła szczodrze wszystkie stworzenia i nie pokusi się nigdy śledzić wzniosłych tajemnic bóstwa.

Mądre słówka dwuletniego dziecka.

Wszystkie dzieci zdają się być przyzwyczajone do impertynenckich i niemiłych manierów, a mianowicie przy każdej zdarzonej okoliczności, tam gdzie w ogóle nie powinny ust otwierać, zwykle wypowiadają „mądre" zdania. Według ogłoszonych prób tego rodzaju sądząc, przychodzę do przekonania, że dzieci dorastającej generacyi są mało co lepsze od idiotów. A naturalnie rodzice muszą być mało co lepsi od dzieci, gdyż po większej części oni to sami są głosicielami dziecięcej naiwności, która promienieje ze szpalt naszych czasopism.

Może zbyt ostro przemawiam, co więcej może ktoś poweźmie podejrzenie, jakobym powodowany osobistą zazdrością to mówił; a ja przyznaję się otwarcie, że mnie to irytuje, gdy słyszę obecnie o tylu bardzo uzdolnionych dzieciach i gdy wspomnę, że ja, jako dziecko, rzadko kiedy powiedziałem coś mądrego. Próbowałem wprawdzie kilka razy, lecz nie miałem szczęścia. Rodzina moja nie oczekiwała też na moje mądre uwagi i byłem zawsze bądź to skrzyczany, bądź też klapsami obdarzony. Lecz czuję drżenie nerwowe i krew stygnie w żyłach na myśl, co też by się ze mną stało, gdybym się był ośmielił mądre zdania dwuletnich dzieci dzisiejszej generacyi wypowiedzieć—oczywista w przytomności mego ojca. Ściągnąć ze mnie skórę żywcem a potem czyn ten jako

zadosyćuczynienie swemu obowiązkowi uważać, byłoby w jego oczach zbrodniczą łagodnością dla takiego grzesznika. Był to człowiek surowy, który rzadko się uśmiechał, a nienawidził każdego rodzaju wczesnej dojrzałości. Rzekłbym więc kilka takich zdań, o których wspominałem, a byłbym dziś co najmniej trupem. Zaiste, możecie mi wierzyć, on byłby w stanie to uczynić, przypuściwszy, iż nadarzyłaby się po temu sposobność. Lecz z drugiej strony i to jest także prawdą, iż nie mogła mu się nadarzyć podobna sposobność, gdyż ja byłbym na tyle mądrym wpierw zażyć strychninę, a potem wypowiedzieć mądrą uwagę. Głośniejsza historya mego życia raz tylko została splamioną dowcipem. Mój ojciec słyszał to i gonił za mną przez trzy czy cztery cyrkuły miejskie — a to by mnie zabić. Gdybym był starszym, miałby najzupełniejszą słuszność; lecz byłem dzieckiem, więc nie miałem jasnego pojęcia, jaki to bezbożny czyn popełniłem.

Powiedziałem coś, co już dawniej nazywano „mądrem zdaniem", lecz nie był to dowcip. A jednak omal, że nie przyszło do zerwania stosunków między mną a ojcem. Moi rodzice, wuj Efraim i jego żona, i kilka innych osób siedzieli razem i rozmowa zeszła na wybór imienia. Leżałem i próbowałem pierścionków gumowych różnego rodzaju, wyszukując odpowiednich, gdyż znudziło mnie przecieranie mych zębów na palcach ludzkich i pragnąłem posiąść coś, coby mi ułatwiło tę zmudną pracę i dozwoliło zająć się czemś innem. Czyście też zauważyli to nieznośne położenie przecierać swe zęby na palcach waszych piastunek, lub też jak utrudzającą i niedogodną jest

chęć przedsiębrania podobnej operacyi na wielkim palcu u nóg waszych. Czyście nigdy nie stracili cierpliwości i nigdy nie zapragnęli widzieć wasze zęby na Łysej górze — przedtem aniżeliście je przetarli?

Zdaje mi się, jakoby to wczoraj się stało. A u niektórych dzieci rzecz się ma tak istotnie. Lecz oddalam się od przedmiotu. Leżałem tedy i próbowałem pierścionków gumowych. Przypominam sobie, że spojrzałem na zegarek i zauważyłem, iż za godzinę i dwadzieścia pięć minut będę miał dwa lata i pomyślałem, jak też mało zrobiłem dotychczas, by się odwdzięczyć za wszystkie dobrodziejstwa, któremi mnie tak hojnie obdarzono.

Wtem usłyszałem głos mego ojca:

„Abraham jest piękne imię. Mój dziadek nazywał się Abraham".

Na to odezwała się matka:

„Abraham jest piękne imię. Bardzo dobrze. Weźmy więc Abrahama, jako jedno z jego imion".

Ja rzekłem:

„Abraham podoba mi się".

Ojciec zmarszczył brwi, moja matka uśmiechnęła się zadowolona.

A moja ciotka rzekła:

„Jakież to miłe, mądre dziecko".

Mój ojciec przemówił:

„Izak to piękne imię a Jakób również".

Moja matka skinęła potakująco i odezwała się:

„Rzeczywiście nie ma piękniejszych imion. Dodajmy więc do jego imienia Izak i Jakób".

Na to rzekłem:

„Bardzo dobrze, Izak i Jakób są dla waszego synka dość odpowiednie imiona. Podajcie mi jednak grzechotkę. Nie mogę bowiem cały dzień gryźć gumowe pierścionki".

Nikt nie zapisał mych słów, by je drukiem ogłosić. Widziałem to i sam to uczyniłem, w przeciwnym razie byłyby one dla świata stracone. Nie mając w obec faktu mej w oczy bijącej inteligencyi umysłowej żadnej zachęty, a której nie brak innym dzieciom, widziałem srogi i surowy wzrok mego ojca, smutne i bojaźliwe spojrzenie matki, a nawet ciotka patrzała na mnie z wyrzutem jakobym za daleko się posunął. Z gniewem nadgryzłem trzymaną w ustach gumę i skrycie rozbiłem grzechotkę o głowę kotka, nic jednak nie rzekłem.

Wkrótce odezwał się mój ojciec:

„Samuel jest pysznem imieniem".

Czułem, że nadchodzi chwila krytyczna. Nic jej odwrócić nie mogło. Odłożyłem grzechotkę, zegarek wuja rzuciłem z kołyski na ziemię, również szczotkę, drewianego pieska, ołowianych żołnierzy, dziadka do orzechów i inne zabawki, któremi miałem zwyczaj robić dużo przyjemnego hałasu, lub też je oglądać i badać, a wreszcie psuć i rozbijać. Następnie ubrałem się w mą sukienkę, moją czapeczkę nałożyłem na głowę, w jedną rękę wziąłem me trzewiczki, w drugą lukrecyę, wylazłem z kołyski na ziemię i rzekłem sam do siebie: „Jeśli teraz przyjdzie do jakiej ostateczności, jestem gotów".

Wówczas odezwałem się głosem stanowczym:

„Ojcze, w żaden sposób nie mogę przyjąć imienia Samuel".

„Mój synu!"

„Ojcze, mówię zupełnie seryo. Nie mogę".

„I dlaczego to?

„Ojcze, mam nieprzezwyciężony wstręt do tego imienia".

„Mój synu, mówisz nierozsądnie. Wielu znakomitych i wielkich mężów nazywało się Samuelem".

„Mój panie, prosiłbym o przykład pierwszy lepszy".

„Co!? Przykład? a więc prorok Samuel. Czyż nie był on znakomitym i zacnym?"

„Nie zupełnie".

„Mój synu! Pan Bóg sam zawołał go własnym głosem".

„To prawda, mój panie — musiał go jednak dwa razy wołać, zanim przyjść zechciał".

Po tych słowach uciekałem, a stary, srogi człowiek za mną. Na drugi dzień około południa dogonił mnie, a gdy pierwsze spotkanie minęło, przyczepiono mnie do imienia Samuela, a prócz tego dodano znaczną ilość rózeg i kilka innych pożytecznych nauk, i tylko tą drogą wściekłość mego ojca się zmniejszyła, a nieporozumienie pomiędzy nami zostało usunięte, lecz gdybym nie miał dość rozumu, mogłoby było przyjść między nami do wiecznego rozbratu. Lecz co by się stać *mogło*, sądząc po tym wypadku i coby ze mną mój ojciec zrobił, gdybym ja w jego przytomności wygłosił taką płaską i bezrozumną uwagę, którą dzisiejsze dwuletnie dzieci drukiem ogłaszają? Mojem zdaniem, zaszedłby w naszej rodzinie wypadek dzieciobójstwa.

Żołnierz Lukrecyi Smith.

Jestem zapalonym zwolennikiem tych milutkich słabiuchnych powiastek wojennych, tak ulubionych ostatniemi czasy, a nawet ostatnie trzy miesiące byłem zatrudniony powiastką takiego rodzaju. Obecnie ukończyłem ją. Możecie być przekonani, że jest ona we wszystkich szczegółach prawdziwą, gdyż fakta na których się opiera, są wzięte z urzędowych sprawozdań ministeryum wojny w Waszyngtonie. Przy tej sposobności muszę nadmienić, że specyalnie przestudyowałem „Sztukę wojenną Jomina", również „Poselstwo prezydenta z odnośnemi dokumentami", jak niemniej mapy i wojskowe dzieła, a to dla dokładnego opisania i zbudowania mej nowelki. Z całą przyjemnością składam niniejszem najserdeczniejsze dzięki uprzejmym dyrektorom biur telegraficznych lądowo-morskich, że pozwolili mi korzystać z dogodności telegraficznych po cenie przyjętej. Wreszcie niech mi wolno będzie przy tej sposobności złożyć podziękowanie tym wszystkim przyjaciołom, którzy słowem i czynem wspierali mnie w napisaniu powieści o żołnierzu Lukrecyi Smith w ostatnich trzech miesiącach i szczerze żałuję, iż imiona i nazwiska są zbyt liczne, bym je tu mógł wymienić.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Mała wioseczka Bluemass w Massachusetts kąpała się w promieniach wschodzącego słońca w jednym

z balsamicznych poranków majowych roku 1861. Reginald de Whittaker, zaufany i jedyny subiekt domu handlowego Buschrod i Ferguson, składu towarów łokciowych i kolonialnych, a zarazem właścicieli poczty, podniósł się z swego posłania umieszczonego pod stołem kupieckim. Ziewnąwszy i wyciągnąwszy się wygodnie, skropił wodą podłogę i zabierał się do zamiatania. Zaledwie w połowie ukończył swą pracę, gdy usiadł na beczce napełnionej gwoździami i głęboko się zamyślił.

„Dziś jest ostatni dzień, który przepędzam w tym baraku", mówił on. „Jaką też minę będzie miała Lukrecya, gdy się dowie o mem odejściu i zaciągnięciu się do wojska! Pewnie dumną będzie, mój śliczny aniołeczek!"

I przed oczyma jego przesuwały się wszystkie możliwe sytuacye wojenne — był bohaterem tysiącznych nadzwyczajnych wypadków—widział się mężem zwiększającej się z każdym dniem sławy — był ulubieńcem fortuny, a wreszcie ujrzał się mężnym, zaszczytnemi ranami okrytym generałem brygady, wracającym do rodzinnego miejsca, by swe zaszczyty i stałą, niezłomną miłość złożyć u stóp swej Lukrecyi Borgii Smith.

W tej chwili dreszcz radości i dumy zatrząsł nim, lecz spojrzał na ziemię, ujrzał miotłę i zarumienił się. Myślą wzniósł się do nieba, a w tejże chwili padł na ziemię i widział siebie maluczkim, nieznanym subiektem, biorącym tygodniowo trzy i pół dolara pensyi.

ROZDZIAŁ DRUGI.

O godzinie ósmej wieczorem Reginald pełen niepokoju na wrażenie wiadomości, którą właśnie miał udzielić Lukrecyi siedział w pokoju pana Smith'a czekając jej przyjścia. W chwili, gdy weszła, zerwał się z krzesła i z obliczem rozjaśnionem pochodnią miłości, która gdzieś w głowie świeciła i przebłyskiwała, otworzył ramiona, by ją uściskać i zawołał: „Moja ty jedyna!"

„Mój panie", odpowiedziała i wyprostowała się z godnością urażonej królowej.

Biedny Reginald stał niemy ze zdziwienia. To zimne przyjęcie, te gniewne słowa w chwili, gdy oczekiwał dawnego, słodkiego uścisku, podziałały okropnie na niego, radość ustąpiła z serca, podobnie jak ożywcze promienie rozweselające krajobraz znikają gdy ciemna chmura zakryje oblicze słońca. Chwilę stał osłupiały z uczuciem zupełnej samotności i opuszczenia, podobne uczucie musi owładać tym, który z pokładu okrętowego wpadł nagle do morza i płynąc po ciemnych falach widzi i poznaje, oddalający się i niknący w cieniach nocy okręt, a w umyśle jego powstaje przekonanie, że nikt nie spostrzegł jego zniknięcia. Chciał mówić, lecz zbielałe wargi odmówiły posłuszeństwa. Wreszcie przemówił:

„O Lukrecyo! Cóż zawiniłem? co się stało? Zkąd te okrutne słowa? Czy nie kochasz już twego Reginalda?"

Na ustach Lukrecyi zarysował się drwiący uśmiech i rzekła z ironią:

„Czy ja kocham mego Reginalda? Nie, nie kocham mego Reginalda! Wróć do twej nędznej budy jarmarcznej, weź do ręki twój nędzny łokieć, a w uszy włóż watę, byś nie słyszał wzywającego cię głosu ojczyzny do zaciągnięcia się w walczące szeregi. Idź, niech cię nie widzę!"

Powiedziawszy to jednym tchem i nie zważając na wyraz radości jego oczu, wyszła z pokoju i zatrzasnęła drzwiami.

Gdyby jedna jeszcze chwila! Tylko jeszcze jedna chwileczka, pomyślał, a opowiedziałby jej, że zadość uczynił wezwaniu ojczyzny, że zapisał się w poczet ochotników, i wszystko byłoby dobrze; jego oburzona narzeczona padłaby w otwarte ramiona z pieszczotliwemi słowami pochwały i podzięki. Uczynił krok naprzód, chcąc ją zawołać, lecz przypomniał sobie, iż teraz nie jest już subiektem handlowym o miękkiem sercu — a wojowniczy duch, którym był przeniknięty gardził prośbą o pardon. Z marsową miną i stanowczością porzucił plac boju i — nigdy już nie spoglądnął w te strony.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Gdy Lukrecya następnego poranku się obudziła, wietrzyk wiosenny przyniósł jej głos oddalającej się trąbki i bębna, nadsłuchiwała, głos niknął w oddali, aż nareszcie ucichło wszystko. Długi czas zamyślona leżała w łóżku, następnie westchnęła i rzekła:

„Ach, gdyby się on też znajdował w szeregach bitnych młodzieńców, jakżeż bym go kochała".

W ciągu dnia przyszedł przypadkowo sąsiad, a gdy rozmowa weszła na tor wojny i żołnierzy, mówił:

„Reginald Whittaker wyglądał smutnie i posępnie gdy dziś rano maszerował w szeregach. Sądzę, że pani jesteś przyczyną, panno Lu; chociaż wczoraj wieczorem gdy go spotkałem tu idącego mówił do mnie, iż zawiadamiając panią o swem postanowieniu pani będziesz się cieszyć — — — Mój Boże, cóż się stało tej dziewczynie?"

Nic; tylko nagły smutek padł na jej serce jak pył mączny, a bladość śmiertelna twarzyczki odbiła stan serca. Nie mówiąc i słowa, powstała i pewnym krokiem wyszła z pokoju; lecz gdy znalazła się w swym świętym przybytku, w swej sypialni, opuściły ją siły i wybuchła gwałtownem łkaniem. Gorzko wyrzucała sobie wczorajszy, głupi pośpiech — swe ostre i gniewne postępowanie z ukochanym w chwili, gdy ten czyniąc zadość najdumniejszemu życzeniu jej serca, przyszedł ją uwiadomić, że staje pod sztandarem wojennym i odchodzi na pole walki jako *jej* rycerz. Ach, inne dziewczęta, będą miały wojowników na tych sławnych polach bitew, będą mogły chlubić się słodką obawą i troską o swych ukochanych, lecz w jej imieniu nikt walczyć nie będzie. Żaden z mężnych wojowników tych wielkich armij nie wyszepcze jej nazwiska, gdy będzie nastawiać swe piersi krwawemu gradowi kul. Znów zapłakała — a raczej był to dalszy ciąg płaczu od chwili gdy go przerwała. Rozżalona złorzeczyła swej prędkości, która stała się przyczyną tak wielkiej boleści w młodym wieku.

Tygodnie mijały, a robak boleści pokryjomu gryzł jej serce, gdy tymczasem róże kwitnące na jej obliczu więdły. Lecz przy tem wszystkiem miała to głębokie przekonanie, że pierwsza ta miłość w sercu Reginalda znów się obudzi i on napisze do niej, ale długie dnie letnie mijały powoli, a listu jak nie było tak i nie ma. Dzienniki były przepełnione opisami potyczek i bitew i chciwie je odczytywała, a zawsze z tym samym rezultatem: łzy tryskające z jej oczu, zalewały ostatnie wiersze — nazwiska bowiem którego szukała, nie spotykała i głucha boleść szarpała jej sercem.

Listy pisane do innych dziewcząt wspominały czasem pobieżnie i o nim i malowały go zawsze jednakim — chmurnym, nigdy się nieuśmiechającym, zrozpaczonym człowiekiem, który w najgorętszej bitwie śmiało szedł naprzód i wracał nienaruszony żadną kulą, tylko szczerniały prochem i dymem, jak gdyby życie jego było zabezpieczone.

W końcu pewnego dnia przeczytała biedna Lukrecya na długiej liście zabitych i rannych, straszliwe słowa i padła zemdlona:

„*R. D. Whittaker, żołnierz, ciężko ranny*".

ROZDZIAŁ CZWARTY.

W pewnym oddziale, pewnego szpitala w Waszyngtonie leżał na łóżku ranny żołnierz. Głowa jego była tak szczodrze bandażami okrytą, że rysów twarzy widać nie było. Jednak co do rysów uszczęśliwionego dziewczęcia, które obok siedziało nie zachodziła

żadna wątpliwość — była to twarz Lukrecyi Borgii Smith.

Przed kilkoma tygodniami znalazła go i od tego czasu cierpliwie opiekowała się rannym, przychodząc rano o godzinie, gdy chirurg rany już opatrzył i siedząc do późna wieczorem. Kula rozerwała mu dolną szczękę, więc nie mógł i słowa przemówić; to też podczas trwania jej opieki, nie była uszczęśliwioną i jednem słowem podzięki; jednak odważnie i bez szemrania wytrwała na swem stanowisku, czując, że z chwilą wyzdrowienia usłyszy coś, co wynagrodzi długie tygodnie czuwania.

W chwili gdyśmy rozpoczęli pisać ten rozdział, Lukrecya była, w najwyższem rozdrażnieniu — lecz była również szczęśliwą; gdyż chirurg jej powiedział, że jej Whittaker jest już dostatecznie wyleczonym, by zdjąć bandaże z głowy i z gorączkową niecierpliwością czekała odkrycia drogich rysów, Wreszcie nadeszła ta chwila z bijącem sercem, z radością w oczach nachyliła się nad łóżkiem. Zdjęto jeden bandaż, następnie drugi, trzeci i biedne poranione oblicze ujrzało światło dzienne.

„O mój drogi, jedyny, uko — —"

Cóż się stało! Co to znaczy!.....

Ach, to twarz zupełnie obca!

Biedna Lukrecya! Zakrywając jedną ręką swe w niebo wzniesione oczy, drugą zaledwie zdołała się powstrzymać od upadku. Następnie wyraz gniewnej wściekłości oszpecił piękne jej rysy i uderzając pięścią o stolik, tak że flaszki z medycyną zatańczyły, krzyknęła:

„O głupia, głupia Lukrecyo! Przyszłaś tu i trzy długie tygodnie siedziałaś jak przykuta i jęczałaś nad obcym żołnierzem!"

Była to smutna, ach bardzo smutna prawda. Nieszczęśliwy, lecz niewinny i nieświadomy oszukaństwa człowiek był R. D. czyli Ryszard, Dilworthy Whittaker z Wiskonsin, żołnierz, milutkiej, malutkiej Eugenii Mulligan — zamieszkały w tej samej prowincyi, lecz zupełnie nieznany Lukrecyi Borgii Smith.

Dziwnie się to plecie na tym Bożym świecie. Zapuśćmy zasłonę na tę bolesną historyę — gdyż bolesną musi ona przynajmniej tak długo pozostać, póki prawdziwy Reginald de Whittaker się nie znajdzie.

Ekonomia narodowa.

„Ekonomia narodowa jest podstawą każdego dobrego rządu. Najmędrsi ludzie wszystkich stóleci poświęcali temu przedmiotowi — —"

W tej chwili przeszkodzono mi w dalszej pracy. Oznajmiono mi, iż jakiś obcy człowiek pragnie ze mną pomówić. Poszedłem i zapytałem czego sobie życzył, a przez cały ten czas walczyłem z gwałtowną chęcią wypowiedzenia mego zdania w kwestyi ekonomicznej i niepowikłania napełniających mnie myśli. W głębi mej duszy, życzyłem nieznajomemu, by spoczywał gdzieś w głębi morza przywalony frachtowemi ciężarami. Byłem rozgorączkowany, on

zupełnie zimny. Mówił, iż mu przykro przeszkadzać mi w mem zatrudnieniu, lecz przechodząc obok mego domu, spostrzegł zupełny brak konduktorów.

„Dobrze", odpowiedziałem. — „cóż z tego — cóż to ma do rzeczy?"

Odrzekł, iż nic tak dalece szczególnego nie ma — lecz chciałby umieścić ze dwa konduktory na dachu. Rola właściciela domu była dla mnie całkiem nową — życie me przepędzałem w hotelach i wynajmowanych pokojach. Podobnie jak to czynią wszyscy nowi właściciele (w obec obcych) udawałem poważnego i dawno już osiadłego posiadacza realności, więc odpowiedziałem, iż od dawnego już czasu, było mem życzeniem, umieścić na mym domu sześć do ośmiu konduktorów, lecz — —

W tej chwili obcy człowiek zmierzył mnie badawczo i uśmiech zaigrał na jego twarzy. Pomyślałem sobie, że choćbym i powiedział jakie głupstwo, twarz moja nie zdradzi niepewności wewnętrznej. Odpowiedział, że znajomość jego ze mną, jest mu milszą i przyjemniejszą, aniżeli z wszystkimi obywatelami miasta. „Bardzo mnie cieszy", rzekłem uprzejmie i spieszyłem już do mego ukochanego przedmiotu, gdy mnie nieznajomy powstrzymał i wyjaśnił, że on musi przecież wiedzieć, ile konduktorów ma umieścić i w których miejscach, jak również jakiego gatunku mają być sztaby.

Położenie moje było krytycznem, gdyż nie byłem przyzwyczajony do podobnych pytań i interesów. Lecz zaszczytnie wyszedłem z tej pułapki, a on pewnie nie spostrzegł, że przed sobą ma fryca. Powiedziałem mu, że niech umieści na dachu ośm konduktorów, najprzedniejszego gatunku.

Odpowiedź jego brzmiała, że ma u siebie trzy gatunki sztab, pierwszy „zwykły", drugi „pociągnięty miedzią", trzeci „cynkowany spiralnie kręcony" ten ostatni gatunek, ściąga wszystkie pioruny, czy on miał paść tu, czy gdzieindziej „jego spłynięcie po konduktorze jest bardzo delikatne, a bieg dalszy apokryficzny. Stopa kosztuje 30 centimów".

Odpowiedziałem, że słowo „apokryph" jest bardzo piękne, tem bardziej, że pochodzi z czasów ojców Kościoła — lecz pominąwszy ten wzgląd filologiczny, pragnąłbym konduktora spiralnego.

Następnie przemówił, iż *mógłby* wprawdzie tak urządzić, że wystarczyłoby 250 stóp, lecz by rzecz tę na urząd zrobić, by zyskać pochwałę chętnych i niechętnych i by wszystkie stronnictwa uznały doskonałość roboty i wykonania, jakiej jeszcze nie widziano, sądzi, że potrzebaby użyć czterysta stóp.

„Weźże pan czterysta, mówiłem znudzony, postaw jak chcesz, a teraz muszę wrócić do mej pracy". W ten sposób pozbyłem się natręta i po półgodzinnem namyślaniu się schwycenia wątka mych myśli o ekonomii narodowej, pisałem dalej:

„.....swe zdolności, naukę i doświadczenie, Wszystkie potężne umysły na polu handlowego prawa, międzynarodowego zbratania się i biologicznych wymagań wszystkich wieków, wszystkich cywilizacyj i narodowości począwszy od Zoroastra a skończywszy na Horacym Greeley żarliwie — —"

Znów mi przerwano i byłem wezwany do rozmowy z przedsiębiorcą konduktorów. Poszedłem pełen wzniosłych i szczytnych słów i myśli, z których każde wymagało przynajmniej kwandrans czasu na obliczenie sylab i liter składających te słowa, stanąłem w obec tego człowieka — on zimny, wyrachowany, ja wzburzony i rozgorączkowany.

Stał on jak ów olbrzym rodyjski, jedną nogą deptał szczep róży, drugą rozkwitające bratki, ręce w kieszeniach, kapelusz nasunięty, jedno oko przymknięte, drugie z podziwem patrzące w kierunku głównego komina mego domu. Powiedział, że układ rzeczy pozwoliłby rozkosznie życie „tam“ przepędzić, i dodał:

„*Panu* zostawiam do osądzenia, czy widziałeś Pan kiedykolwiek coś tak porywająco pięknego, jak owych ośm konduktorów na kominie?“

Odrzekłem, że nic podobnego nie widziałem. On sądził, że podobnie pięknym widokiem, chyba wodospad Niagary pochlubić się może. Do całości jednak, do uroczej harmonii miłej dla oka, potrzebaby inne kominy również ozdobić „by ogólnemu coup d'oeil dodać równowagi i by pierwsze coup d'état spotkane na głównym kominie nie było zbyt rażącem, lecz zlewało się w harmonijną całość z pozostałemi kominami.“

Zapytałem go, czy on z książki nauczył się tak pięknie mówić i niechaj mi jej pożyczy. Z życzliwym uśmiechem odpowiedział, że nie uczył się mówić z książek, lecz częste stosunki z piorunem, czy-

nią człowieka zdolnym do używania śmiałych zwrotów języka.

Przedłożył mi następnie rachunek dodając, że właściwie potrzeba by jeszcze z ośm konduktorów postawić na mym dachu i sądzi, że 500 stóp starczy na to, gdyż prawdę powiedziawszy mylnie obliczył pierwszych ośm.

Odpowiedziałem, że spieszę się i radbym już tę sprawę stanowczo załatwić, bym wrócił do mej pracy. Na to rzekł: „Wprawdzie *mógłbym* ustawić tych ośm konduktorów i odejść — wielu *uczyniłoby* w ten sposób. Ale, pomyślałem sobie, ten człowiek jest ci wprawdzie obcym, lecz raczej umrę aniżeli przykrość mu sprawię; na dachu za mało jest konduktorów, z miejsca się nie ruszę, póki nie zrobię mu tego, cobym życzył by dla mnie zrobiono i póki nie powiem mu: Nieznajomy, spełniłem moją powinność i obowiązek, jeśli ów poseł gromowładnych niebios uderzy w twój dach — — “.

„Już dobrze, dobrze,“ odpowiedziałem, „postaw pan jeszcze ośm konduktorów — weź pięćset stóp spiralnych sztab — rób co chcesz i gdzie chcesz lecz daj pokój twym żalom i boleściom. „A teraz, po tem wzajemnem porozumieniu wracam do mej pracy.“

Sądzę, że pewnie godzinę całą starałem się skupić me myśli rozproszone ostatnią przerwą, wreszcie udało mi się i rozpocząłem pisać dalej:

„.....trudnili się tym przedmiotem, a najwięksi z nich znaleźli w nim przeciwnika godnego ich umysłu, który po każdej porażce, zawsze uśmiech-

nięty i nowy przemawiał do ich duszy. Wielki Konfuciusz powiedział, że wolałby być wielkim ekonomistą aniżeli dyrektorem policyi. Cicero mawiał często, że ekonomia narodowa, jest najszczytniejszą rzeczą badaną przez człowieka, a nawet nasz Greeley wyraził się, wprawdzie niejasno, lecz dosadnie, że — — “.

Nieznajomy człowiek znów mnie zawołał. Poszedłem w usposobieniu, graniczącym blizko z niecierpliwością. Mówił, że wolałby umrzeć, aniżeli mi przerywać w mej pracy, lecz gdy się zobowiązał do pięknej i czystej roboty i gdy zmęczony chciałby spocząć po przebytych trudach i pracy, a spojrzy na dach mego domu, domu który go tak bardzo interesuje to spostrzega, że jest tylko szesnaście konduktorów i nic więcej nie chroni ten dom przed burzą — — .

„Panie, zawrzyjmy ugodę!“ zawołałem. „Postaw pan sto pięćdziesiąt! Postaw na kuchni! Tuzin osadź na wozowni i szopie! Ustaw na krowie! na kucharce! Rozrzuć je po całym domu, po tym nieszczęsnym przez burze prześladowanym domu, póki wyglądać nie będzie jak ta brona, najeżony kolcami cynkowemi, spiralnemi, na końcu posrebrzanemi! A teraz do pracy! Zużyj pan cały swój materyał, a gdy ci zabraknie konduktorów, to stawiaj laski, drągi, pałki, strzelby — jednem słowem zaspokój twój nienasycany apetyt upiększania mego domu, lecz daj mi raz wypocząć i oddać się spokojnie mej pracy!“

Wcale tem niewzruszony — zauważyłem tylko lekki uśmiech. Poprawił sobie ten żelazny człowiek mankiety i powiedział: teraz zabieram się do pracy.

Minęło pewnie więcej niż trzy godziny, zanim zebrałem me myśli i mogłem pisać dalej, gdyż nie mogłem obronić się zajęciu tym wzniosłym przedmiotem, który ze wszystkich działów filozofii najwięcej mi się podoba.

„.....ekonomia narodowa jest najdroższym darem niebios dla ludzkości. Gdy lekkomyślny, lecz zdolny Byron leżał słaby w Wenecyi, rzekł, iż gdyby młodość jego wróciła i swe stracone życie napowrót by rozpoczął, poświęciłby swe rozsądne, nieszalone, chwile życia pisaniu rozpraw z dziedziny ekonomii narodowej, a nie lichym rymom. Washington kochał tę boską naukę, a imiona Bakera, Bekwitha, Judsona, Smitha na zawsze są połączone z tą wiedzą; a nawet sam boski Homer mówi w swej dziewiątej księdze Iliady:

„Fiat justitia, ruat coelum,
Post mortem unum, ante bellum,
Hic jacet hoc, ex-parte res,
Politicum e—conomico est.“

Wzniosłe te myśli starego barda w związku z szczęśliwym doborem wyrazów, szlachetność obrazów, któremi rzecz przedstawia, wyszczególniają te wiersze i zdobyły im sławę większą, aniżeli kiedykolwiek — — “.

„Teraz ani słowa, mój Panie — ani słowa! Podaj pan twój rachunek i zamilknij w tym domu na zawsze. Dziewięćset dolarów? Już wszystko? Ten oto weksel wypłaci każdy bank w Ameryce. Cóż to za zbiegowisko ludzi na ulicy? co to znaczy? — "

„Oglądają konduktory!"

„Do diabła, czyż ludzie nie widzieli konduktorów? Nigdy jeszcze nie widziałem takiego zbiegowiska przed mym domem! Muszę sam zejść zbadać przyczynę i rozpatrzeć krytycznie ich nieświadomość..."

Trzy dni później. — Wszyscy jesteśmy śmiertelnie znużeni. Przez dwadzieścia cztery godzin dom nasz najeżony konduktorami, gdyby sierścią, był przedmiotem rozmowy i zdziwienia całego miasta. Teatr nudził, gdyż najlepiej obmyślane efekta sceniczne malały i drobniały w obec mego domu. Nasza ulica przepełnioną była tłumem gapiących się przez cały dzień i noc, wielu ludzi przybyło z prowincyi tylko w tym celu, by widzieć ten nowy cud. Było to ulgą niemałą, gdy na drugi dzień burza nadciągnęła, a pioruny poczęły „zdobywać" mój dom, wyrażając się słowami historyka Józefa. Możnaby powiedzieć, że galerye się wypróżniły. W pięciu minutach w okręgu pół mili nie było i jednego gapiącego się; lecz w zamian wszystkie wyższe sąsiednie domy roiły się od ludzi. W oknach, na dachach, jednem słowem wszędzie widziałem. I nie można brać im tego za złe, gdyż choćby wszystkie spadające gwiazdy i wszystkie sztuczne ognie spalone za jednej generacyi w dniu 4 lipca [1]) — razem zebrać, jeszczeby nie dorównały tej ognistej lawinie piorunów, bijących w niewinny dach mego domu, wśród burzliwej pomroki. Według dokładnego rachunku w ciągu czterdziestu minut, uderzyło w mój dom siedmset sześćdziesiąt i cztery piorunów, lecz każdy z nich zbiegł po spilarnej, cynkowanej sztabie bardzo szybko na ziemię, tak szybko że z pewnością nie umiał zdać sobie sprawy z tej jazdy. A przy całem tem bombardowaniu, tylko jedna dachówka spadła na ziemię, a to w chwili, gdy konduktory innych domów odstąpiły swe pioruny moim. Coś podobnego nie widziano od początku świata. Przez cały dzień i noc następną nikt z mego domu nie mógł wychylić głowy przez okno, gdyż w tejże chwili elektryczność zrywała włosy, a głowy wyglądały gładkie jak bile bilardowe i jeśli mi czytelnik wierzy, to przez całą noc, nawet się nikomu nie śniło wyjść z mego domu.

Wreszcie ustało to okropne oblężenie, gdyż w chmurach absolutnie zabrakło elektryczności, wszystką pochłonęły moje konduktory. Wypadłem na ulicę, zgromadziłem śmiałych i odważnych robotników i nikt z nas nic w usta nie wziął do chwili, póki tego straszliwego uzbrojenia nie zdjęto z domu, z wyjątkiem trzech konduktorów na korpusie, jednego na kuchni i jednego na szopie, w które zostały

[1]) W dniu 4 Lipca przypada uroczystość narodowa w Ameryce, pamiątka oswobodzenia się od przewagi Anglików.

po dziś dzień. Dopiero teraz ośmielili się mieszkańcy miasta przechodzić koło mego domu. W dniach tych pełnych grozy, nie tknąłem się rozpoczętej pracy nad ekonomią narodową. Jeszcze teraz nerwy moje i umysł jest tak wzburzony, że nie potrafiłbym nic pisać.

Do wszystkich, których to dotycze. Ktokolwiekby potrzebował trzech tysięcy dwieście jedenaście stóp najlepszego gatunku, cynkowanych, spiralnych sztab, przydatnych na konduktory, również sześciuset trzydzieści jeden żelaznych, posrebrzanych na końcu lasek, wszystko to w dość dobrym stanie — a choć przez użycie mocno nadpsute, jednakowoż do codziennego użytku jeszcze przydatne — raczy się zgłosić do wydawcy tej książeczki, a ten wskaże mu adres.

Autobiografia Marka Twain'a.

Ponieważ dwie czy trzy osoby w różnych czasach oświadczyły, iż gdybym napisał autobiografię, one w chwili swobodnej by ją czytały, ulegam więc gorącemu żądaniu publiczności i oddaję spisany mój żywot.

Pochodzę z bardzo szlachetnego, starożytnego domu. Sięga on bardzo dawnych czasów. Pierwszy mój przodek, o którym Twain'owie jaką taką wiadomość posiadają, był przyjacielem rodziny Higgins

Było to w XI w. gdy ród nasz żył w Aberdeen, hrabstwie Cork w Anglii. Zkąd to poszło, że nasza główna linia od tego czasu nosiła nazwisko matki, (wyjąwszy, iż od czasu do czasu który z nich chcąc ujść głupstwa krył się pod innem nazwiskiem) — nie zadawalniając się rodową nazwą Higgins, jest tajemnicą, której nie bardzo chcieliśmy i chcemy dochodzić. Tkwi tam jakiś stary bardzo zawiły lecz piękny romans, niechże tam leży w spokoju. Wszystkie stare rodziny czynią podobnież.

Artur Twain używał wielkiej sławy i zaszczytów, był on poborcą przydrożnym za czasów Williama Rufusa. Mając mniej więcej trzydzieści lat, udał się on do jednego z tych pięknych staroangielskich miejsc zabawnych, zwanych Newgate, by coś tam zrobić, i nie wrócił więcej. Przebywając tamże, umarł nagłą śmiercią.

August Twain zdaje się, iż był głośnym około r. 1160. Był to nadzwyczaj wesoły towarzysz, miał zwyczaj ostrzyć swą szablę, zaczajać się w ciemnych miejscach, a gdy ludzie przechodzili przekłuwać i rąbać szablą, by widzieć ich skoki i rzucania się. Był to dowcipniś od urodzenia. Jednakowoż wkrótce się przyzwyczaił nadużywać swego dowcipu, a gdy go raz pierwszy spotkano przy obdzieraniu sukni z bliźniego, ziemska władza oddzieliła jedną część jego ciała, a resztę korpusu wysłała do Temple-Bar; jest to bardzo piękny pagórek, zkąd się mógł dostatecznie przypatrzeć ludziom. Żadne miejsce nie podobało mu się w życiu więcej jak to właśnie, i nigdzie też tak długo nie przebywał.

Nasze drzewo genealogiczne wykazuje przez następne dwa wieki cały szereg wojowników; szlachetni, odważni ludzie, zawsze z śpiewem na ustach szli do bitwy, a mianowicie tuż za armią i regularnie z dzikim okrzykiem cofali się tuż przed armią.

Jest to tylko ubliżającą naganą, godną lichego dowcipu zmarłego starca Froissart'a, że nasze drzewo rodzinne nigdy więcej nie miało jak tylko jedną gałązkę, i że gałązka ta po prawej stronie naszego drzewa się rozwijała, a zimą i latem niosła owoce.

Na początku piętnastego wieku żył Beau Twain, z przydomkiem „Uczony." Miał on zdolność kaligraficzną i umiał tak doskonale naśladować pismo innych, że dość było widzieć, by się uśmiać serdecznie. Różne też dowcipy płatał, lecz w końcu musiał się zobowiązać tłuc kamienie na drodze, a ta praca zepsuła mu rękę. Tymczasem żył on szczęśliwie w tem przedsiębiorstwie kamiennem, z małemi przerwami przez czterdzieści dwa lat. Umarł na swem stanowisku. W ciągu tych lat prowadził on tak nienaganne życie, że rząd widział się zmuszonym odnawiać z nim kontrakt, jak tylko jeden tydzień zaniedbał przedsiębiorstwa. Był on ulubieńcem policyi. Cieszył się przyjaźnią swych towarzyszów sztuki i był jednym z wpływowych członków dobroczynnego, tajemnego stowarzyszenia, zwanego kajdaniarzami. Włosy nosił zawsze krótko i miał słabość do stroju w paski. Zmarł z wielką boleścią rządu. Była to ciężka strata dla ojczyzny, gdyż był tak punktualnym.

W kilka lat później wystąpił na widownię świata John Morgan Twain. W r. 1492 przybył wraz z Kolumbem do Ameryki jako pasażer. Zdaje się iż z usposobienia był zgryźliwym i niemiłym. W czasie podróży uskarżał się nieustannie na jedzenie i każdym razem groził, iż wysiądzie na ląd, jeśli nie będzie lepiej. Żądał świeżej ryby rzecznej. Nie było i dnia, by z podniesioną głową nie rozbijał się po pokładzie okrętu, nie drwił z dowódzcy i nie wygłaszał zdania, że Kolumb sam nie wie, gdzie jedzie i dokąd zajedzie. Pamiętny okrzyk: Ziemia! Ziemia! wzruszył każdego, tylko on zimnym pozostał. Przez krótką chwilę patrzał na linię rysującą się na morzu przez zadymione szkło, wreszcie krzyknął: Do diabła, z ziemią, to tylko czółno!

Gdy przybył na okręt, przyniósł z sobą chustkę od nosa ze znakiem B. G., wełniane pończochy z literami L. W. C., koc wełniany znaczony D. F. i nocną koszulę odznaczoną literami O. M. R. wszystko zawinięte w starą gazetę. Jednak wśród podróży dbał więcej o swój „kufer" jak wszyscy zebrani pasażerowie. Gdy okręt się przechylił, przenosił swój kufer na drugą stronę i zważał na następstwa tego kroku. Gdy okręt się zanurzał, żądał od Kolumba, by kazał wyrzucić pakunki swych ludzi. W czasie burz musiano go kneblować, bo jego wrzaski i piski nie dozwalały słyszeć rozkazów dawanych majtkom.

Człowiek ten nie był nigdy oskarżony publicznie o jakiekolwiek przestępstwo, lecz w księdze okrętowej zapisano, jako „rzecz szczególną," że chociaż

swój pakunek przyniósł w gazecie, z okrętu wyniósł cztery kufry, jedną torbę podróżną i kilka koszów wina szampańskiego. Gdy jednak powrócił na okręt i twierdził, że mu brakuje wielu przedmiotów, więc musi przeszukać pakunki innych pasażerów, przepełniła się miarka cierpliwości i zrzucono go z pokładu w morze. Długi czas spoglądano z ciekawością na fale, lecz żaden pęcherzyk wodny nie wskazywał miejsca gdzie spoczywa nasz przodek, po chwili z przerażeniem spostrzeżono, iż okręt się kołysać i chwiać zaczyna, a lina z kotwicy płynie po morzu.

I znów zapisano w pożółkłej księdze tę dziwaczną uwagę:

„Odkryto, że ten niemiły pasażer, pochwycił kotwicę i sprzedał ją dzikim krajowcom, twierdząc, że ją „znalazł“ — to łotr!

A jednak człowiek ten miał dobre i szlachetne popędy i z dumą wspominamy, iż był on pierwszym z białych, który się zajmował podniesieniem i cywilizacyą Indyan. Zbudował on wygodne więzienie, wystawił szubienicę i aż do śmierci zwykł był mawiać z zadowoleniem, że wpływ jego na Indyan, był o wiele szlachetniejszy i lepszy, aniżeli wszystkich reformatorów. W tem miejscu kronika staje się zawiłą i milczącą i nagle kończy się wiadomością, iż stary ten podróżnik chciał widzieć działalność wystawionej szubienicy na ciele białego człowieka i odniósł taką ranę, że tę ochotę śmiercią przypłacił.

Prawnuk tego „Reformatora“ żył w szesnastym wieku i w naszych rocznikach nosi tytuł „starego admirała,“ chociaż w historyi nosi inną nazwę. Długi czas dowodził on flotą szybkich okrętów, dobrze uzbrojonych i położył wiele zasług około polowania na okręta kupieckie. Okręta, za któremi płynął, lub na które swym wzrokiem sokolim spojrzał, szybko mknęły po oceanie. Lecz gdy jaki okręt, mimo starań nie dość szybko płynął, oburzało go to do tego stopnia, że go zatrzymywał — zabierał do swej ojczyzny i tam starannie go ukrywał w nadziei, iż właściciele sami po niego się zgłoszą, co się jednak nigdy nie zdarzyło. Chcąc wyleczyć majtków takiego okrętu z gnuśności i lenistwa, używał środka, zwanego przez niego „skokiem przez pokład.“ I wszystkim jego pacyentom bardzo się to podobało. Przynajmniej, po pierwszej próbie, nic przeciwko temu nie mieli. Gdy się właściciele okrętów zbyt spóźniali, to wówczas rozkazywał admirał palić te okręta, by suma z ubezpieczenia nie ginęła. Wreszcie temu sławnemu mężowi, w kwiecie lat, ucięto głowę. A pozostała wdowa była głęboko przekonaną, że gdyby tę operacyę przedsięwzięto przed pietnastoma minutami, byłby nieboszczyk ożył.

Karol Henryk Twain żył w drugiej połowie XVII wieku i był gorliwym i znakomitym misionarzem. Nawrócił on sześnaście tysięcy mieszkańców wysp południowych i starał się ich przekonać, że krawatka z psich zębów i szkiełko, nie są dostatecznem ubraniem, by przebywać podczas służby bożej.

Poczciwa ta trzoda wyznawców, kochała go bardzo, bardzo serdecznie i gdy odprawiono obchód pogrzebania jego ciała, powstali równocześnie wszyscy (a wychodzili z swej jadłodajni) ze łzami w oczach i mówili do siebie, jednak był to dobry misyonarz i chętnie pragnęliby mieć jeszcze coś z niego.

Pa-Go-To-Wah-Wah-Pukketekiwis (silny myśliwy o świńskiem oku) Twain, był ozdobą ośmnastego wieku, sprzyjał z poświęceniem i zaparciem siebie jenerałowi Braddock, by pobić ciemiężyciela Washingtona. On to był, który ukryty za drzewem strzelał siedmnaście razy na naszego Washingtona. O tyle jest to piękne romantyczne podanie prawdziwe i zgodne z historyą, lecz w miejscu gdzie ta mówi, iż dziki z drżeniem po siedmnastym strzale wyznał, że człowiek ten musi być chyba przez wielkiego ducha przeznaczony do szczytnych celów i że nie śmiał podnieść już więcej swej bezbożnej strzelby na prezydenta, to istotnie musimy zaprzeczyć temu fałszowi historycznemu. Faktycznie powiedział on następujące słowa:

„Jest to rzeczą — całkiem zbyteczną. Człowiek ten jest pijany, gdyż nie może i chwili stać spokojnie bym go mógł trafić. Moje — *moje* środki nie pozwalają, do *tego* tu strzelać więcej!“

I otóż prawdziwa przyczyna zaprzestania strzelania po ośmnastym wystrzale — przyczyna zrozumiała dla każdego i zalecająca się prawdą.

Zawsze lubiłem opowiadania historyczne, lecz też nieustannie towarzyszyło mi przeczucie, że każdy indyanin przy klęsce Braddocka strzelając dwa

razy na żołnierza Washingtona — (*dwa* w biegu stólecia przemienia się łatwo w siedmnaście) — gdy go nie trafił, nabierał zaraz przekonania, że wielki duch przeznaczył tego żołnierza do wielkich celów, i tak obawiam się, że jedyną przyczyną dla której historya o upadku Washingtona doszła naszej wiadomości, jest tylko dziwny zbieg okoliczności, że proroctwo tu się sprawdziło, gdy w innych przypadkach zaprzeczonem zostało. Nie starczyłoby książek na świecie, by wszystkie proroctwa pomieścić, które wypowiedzieli indyanie i inne nieupoważnione do tego osobniki; lecz sprawozdanie o proroctwach spełnionych, możnaby wygodnie schować do kieszeni paltota.

Nawiasowo dodaję, że niektórzy z mych przodków znani są w historyi pod przydomkami, tak że nie miałem potrzeby opowiadać tu szczegółów z ich dziejów. Między innemi: Ryszard Brinsley Twain, alias Guy Fawkes; John Wentworth Twain, alias Jan z szesnastoma stryczkami, Wiliam Hogarth Twain, alias Jack Sheppard; Ananias Twain, alias Baron Münchhausen; John George Twain, alias Kapitan Kydd. Wreszcie są jeszcze: George Francis Twain, Tom Pepper, Nabuchodonozor i Baalama osioł — wszyscy ci należą do naszej rodziny, lecz z bocznej linii, która oddaliła się znacznie od głównej — członkowie tej bocznej linii odróżniają się od nas starożytnego pnia rodziny Twain'ów, że zamiast dążyć do sławy, której my tak pragniemy, oni nabrali tego dziwnego przyzwyczajenia zamykać się w więzieniu, zamiast wolno bujać w powietrzu.

Jest to rzeczą niekorzystną pisząc swą autobiografię, nadto bliskich przodków wymieniać — jest rzeczą najlepszą mówić o takich przodkach niewyraźnie i wprost z pradziada przejść do siebie.

Przyszedłem na świat bez zębów, pod tym względem przewyższał mnie Ryszard III, lecz ja nie miałem garbu i pod tym względem ja jego przewyższyłem. Moi rodzice nie byli zbyt ubodzy, ani też zbytecznie rzetelni.

Lecz przychodzi mi nowa myśl. Moja własna historya byłaby w obec tej moich prodków tak lichą i skromną, że wolę zaczekać do czasu, póki nie będę swobodnie bujać w powietrzu. Gdyby inni biografowie, których czytałem, poprzestali na swych przodkach, póki się im nie zdarzy podobnie szczęśliwy przypadek, sądzę, że byłoby to z korzyścią czytającej publiczności. A cóż *wy* o tem sądzicie?

Przed sądem przysięgłych.

„Tu siedziałem", opowiadał sędzia, „w tym starym fotelu i sądziliśmy wielkiego, tęgiego, hiszpańskiego nicponia, o bezczelnej twarzy, który zamordował męża pięknej, ognistej meksykanki. Dzień letni był gorący, bardzo długi, a świadkowie bardzo nudni. Nikt się nie interesował przebiegiem sprawy, prócz tego nerwowego, niespokojnego diabła, młodej

meksykanki — gdyż wiecie, jak one kochają i nienawidzą, a ona kochała swego męża szalenie, teraz zaś nienawiść opanowała ją wściekła; stała przed nami, oczy jej miotały pioruny na hiszpana i przyznam się, że mnie samego trochę wzruszyła błyskawicznem spojrzeniem. Ściągnąłem mój surdut, oparłem się o stół, oddychałem głęboko, pociłem się i paliłem jedno z tych cygar, które dla nas trzymano wówczas w San Francisco; adwokaci zdjęli również swe surduty, palili i siedzieli przy stole, podobnież czynili świadkowie i oskarżony. Otóż wówczas były takie stosunki, że proces o morderstwo nikogo nie interesował, gdyż każdy został uniewinniony, albowiem przysięgli oczekiwali podobnej grzeczności ze strony sądzonych, chociaż więc wszelkie dowody były przeciw hiszpanowi i popełnienie morderstwa nie ulegało wątpliwości, to jednak wiedzieliśmy, że nie wolno go nam osądzić, jeśli nie chcemy popaść w podejrzenie, jakobyśmy byli zbyt samodzielni i zarozumiali w obec któregokolwiek z naszej gminy; nie było bowiem wówczas gminnego karawanu i ubiorów żałobnych, więc jedynym stosownym sposobem grzebania, były tylko prywatne pogrzeby. Lecz kobieta ta uwzięła się na powieszenie hiszpana i trzeba było ją widzieć, jakim wzrokiem mierzyła zabójcę, potem słodko i błagalnie patrzyła na mnie, jak badała wyraz twarzy przysięgłych, po chwili ukryła swą twarzyczkę w dłoniach zrozpaczona, lecz znów się opamiętała i starała się być uważną i troskliwą o los sprawy. Gdy jednak przysięgli wydali wyrok „niewinny", a ja zwróciłem

się do oskarżonego mówiąc: że jest wolnym i może wyjść, to kobieta ta rosła w mych oczach i była tak wielką i silną, jak okręt o siedmdziesięciu czterech armatach i rzekła:

„Sędzio, czy ja cię zrozumiałam, czy mówisz, iż ten człowiek jest wolny?—ten człowiek, który w moich oczach, w przytomności mych dzieci zamordował mego męża i to wszystko nic nie znaczy w obec sądu? czyż nic mi nie pomoże prawo i sprawiedliwość?"

„Tak jest", odpowiedziałem.

„I cóż pan sądzisz, co uczyniła? Zzwróciła się do tego wysokiego hiszpańskiego draba jak kot dziki, wyciągnęła pistolet i zastrzeliła go w sądzie!"

„Muszę przyznać, że była to hic mulier!"

„Nieprawdaż?" mówił sędzia pełen podziwienia. „Za nic w świecie nie opuściłbym podobnego widowiska. Natychmiast odroczyłem sądy, wzięliśmy nasze surduty i wyszliśmy, by zarządzić składkę dla niej i dla jej dzieci poczem wysłaliśmy ją za góry do jej przyjaciół. Ha, kobieta ta była rzeczywiście hic mulier!"

Okrzyki w Irlandyi.

Belfast jest bardzo religijnem miastem. W ogóle można to powiedzieć o całej północnej Irlandyi. Ludność jest w połowie katolicką i protestancką. Każde stronnictwo usiłuje swe nauki szerzyć między ludem i zyskiwać przychylność błędnych bliźnich. Nieustannie słyszymy o bardzo czułych przykładach tej gorliwości.

Przed tygodniem zebrała się znaczna liczba katolików w Armagh przy poświęceniu nowego kościoła; a gdy wracali do domu, wszystkie ulice przepełnione były łagodnymi i pokornymi protestantami, którzy tak długo kamienowali katolików, póki cała droga krwią zbroczoną nie została. Sądziłem, że tylko katolicy argumentują w ten sposób, lecz zdaje się było to omyłką.

Każdy z gminy jest misyonarzem i nosi kamień przy sobie, by upomnieć błądzących bliźnich. Rząd chciał zapobiedz temu, jednak nie udało mu się w zupełności. Więc rozporządził, że podburzające okrzyki stronnictwa nie będą cierpiane, a wszyscy, którzy się tego dopuszczą, ulegną karze pieniężnej czterdziestu szyllingów i kosztom procesu. I tak można widzieć codziennie zanotowaną tę karę w wykazach policyjnych. Zeszłego tygodnia ukarano dwunastoletnią dziewczynkę czterdziestu szyllingami i kosztami procesu, gdyż krzyczała na ulicy, iż jest „protestantką". Zwykłym okrzykiem są słowa: „Do diabła z papieżem!" lub „Do diabła z protestantem?" — zależy to od systemu, według którego wydający okrzyk zamyśla się dostać do nieba.

Jeden z najświeższych dowcipów Belfastu, był bardzo dobry. Dotyczył on ogólnej kary czerdziestu szyllingów wraz z opłatą kosztów procesu za wydany okrzyk stronnictwa — a kara ta, mówiąc mimo-

chodem, jest znaczną dla biednego człowieka. Opowiadano, że pewien policyant spotkał w ciemnej uliczce trochę podpitego obywatela miejskiego, który zabawiał się okrzykiem: „Do diabła!" „Do diabła!"

Szanowny przedstawiciel władzy, przeczuwał karę pieniężną — kto bowiem zawiadomił policyą, dostawał połowę kary — tedy pyta uprzejmie:

„Co pan mówi?"

„Do diabła!"

„Do diabła z *kim?* Do djabła z *czem?*"

„Ach, daj mi pan pokój — dokończ jak chcesz — dla mnie za droga ta zabawka!"

Zdaje mi się, że burzliwe usposobienie stronnictw powstrzymywane instynktem oszczędności, dobitnie się tu charakteryzuje.

Wiadomości w sprawie wielkiego kontraktu mięsa wołowego.

W jak najkrótszy sposób radbym memu narodowi przedłożyć mój udział w tej sprawie — która tak bardzo umysł publiczności zaprząta, tyle krwi napsuła i przepełniła dzienniki obu światów różnemi wiadomościami wątpliwej wartości.

Początek tej zasmucającej sprawy był następujący — a zapewniam, że każdy szczegół tu zacytowany, może być udowodniony rządowemi aktami—:

John Wilson Makenzie z Roterdamu, w hrabstwie Chemung i Newyersey, zmarły, zawarł na lub około

dnia 10 października 1861 r. kontrakt z rządem, celem zaprowiantowania wojsk generała Shermana, trzydziestu beczkami mięsa wołowego.

Bardzo dobrze.

Wyruszył z mięsem szukając generała; lecz gdy przybył do Washingtonu, Sherman był w Manassas. Zabrał swój towar i pojechał za nim, przybył za późno; jedzie tedy do Nashville, z Nashville do Chatanuga, z Chatanuga do Atlanty — nigdzie dosięgnąć go nie mógł. Ruszył z Atlanty i szedł śladem jego nad jeziora. Spóźnił się znów o kilka dni, a gdy posłyszał, że Sherman z „miasta kwakrów" zrobił wycieczkę do Ziemi świętej, popłynął do Beirut, spodziewając się wyprzedzić generała. Przyjechawszy z swem mięsem do Jerozolimy, dowiedział się, że Sherman nie odpłynął z „miasta kwakrów" do Ziemi świętej, lecz wyruszył w „niziny", by zwyciężać Indyan. Wrócił tedy do Ameryki i udał się w Skaliste góry. Po sześćdziesięciu ośmiodniowej uciążliwej podróży przez niziny, dotarł już blisko obozu generała, bo tylko o cztery mile angielskie był oddalony, został jednak tomahawkiem zabity i oskalpowany, a Indianie zabrali mięso. Zajęli w swe posiadanie wszystkie beczki z wyjątkiem jednej. Ta ostatnia wpadła w ręce wojsk Shermana i w ten sposób śmiały ten podróżnik, chociaż po śmierci, dopełnił częściowo swego kontraktu. W testamencie zapisał ten kontrakt swemu synowi Bartłomiejowi Wilson.

Bartłomiej Wilson przedłożył następujący rachunek i umarł:

Stany Zjednoczone

są dłużne zmarłemu John Wilson Makenzie z Newyersey

	Dolary
Trzydzieści beczek mięsa wołowego dla generała Shermana à 100 dolarów	3,000
Koszta transportu i podróży.	14,000
Suma	17,000

Jak wspomniałem umarł. Kontrakt jednak zostawił Williamowi J. Martin, który starał się zrealizować ten dług, lecz zanim swój cel osiągnął—umarł. Testamentem przekazał ten kontrakt Barkerowi J. Allen, ten czynił podobne starania i nic nie zyskawszy, umarł. Barker J. Allen zostawił kontrakt i rachunki szczegółowe panu Anson G. Rogers, ten będąc zapobiegliwy doszedł do dziewiątego audytora, lecz niestety śmierć równająca wszystko, nie zawezwana nawet zabrała go, a tem samem uniemożliwiła osiągnięcie celu.

Lecz Barker zostawił rachunki swemu krewnemu z Conecticut, nazwiskiem Vengeance Hopkins, który wytrwał cztery tygodnie i dwa dni, a przez ten czas doszedł już prawie do dwunastego audytora. W testamencie zapisał ten kontrakt swemu wujowi O—ciesz—się—Johnson. Ten zapis zbytecznie uszczęśliwił p. O—ciesz—się. Ostatnie słowa jego były: „Nie płacz po mnie — chętnie ztąd odchodzę". I w samej rzeczy biedny człowiek chętnie się przeniósł w inne światy. Następnie otrzymało w spadku ten kontrakt jeszcze siedm osób — wszystkie pomarły. W ten sposób doszedł on moich rąk. Otrzymałem go od

mego krewnego nazwiskiem Hubbard — Betleem Hubbard z Indiany. Przez długi czas gniewał on się na mnie, lecz w ostatnich chwilach swego życia zawołał do siebie i ze łzami w oczach darował mi kontrakt.

To jest pierwsza część historyi tej ugody o mięso wołowe. Chcę się obecnie przed moim narodem usprawiedliwić co i jak uczyniłem w tej sprawie. Zabrawszy kontrakt, rachunki podróży i transportu, poszedłem do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

On rzekł:

„Czem mogę Panu służyć?"

Odpowiedziałem:

„Panie Prezydencie, na lub około dnia 10 października 1861 roku, zawarł John Wilson Mackenzie z Roterdamu w hrabstwie Chemung—Newyersey, obecnie już zmarły, kontrakt z rządem o zaprowiantowanie generała Shermana, trzydziestu beczkami mięsa wołowego — —"

Tu przerwał mi prezydent i pożegnał mnie grzecznie, lecz stanowczo.

Następnego dnia zrobiłem wizytę sekretarzowi państwa.

On powiedział:

„Cóż, mój Panie?"

Odrzekłem:

„Wasza Królewska Wysokości, na lub około dnia 10 października 1861 roku, zawarł John Wilson Mackenzie z Roterdamu w hrabstwie Chemung, Newyersey, obecnie już zmarły, kontrakt z rządem o za-

prowiantowanie generała Shermana trzydziestu beczkami mięsa wołowego — —"

„Dosyć, mój Panie, oddział ten nic nie ma do czynienia z kontraktami mięsa wołowego".

Zostałem pożegnany. Rozważyłem dokładnie całą sprawę i następnego dnia poszedłem do ministra marynarki, który przemówił:

„Zechciej Pan szybko sprawę swoją przedłożyć, gdyż nie mam czasu".

Zacząłem więc:

„Wasza Królewska Wysokości, na lub około dnia 10 października 1861 roku, zawarł John Wilson Mackenzie z Roterdamu w hrabstwie Chemung Newyersey, obecnie już zmarły, kontrakt z rządem o zaprowiantowanie generała Shermana trzydziestu beczkami mięsa wołowego — —"

Aż do tych słów mogłem mówić w tej sprawie. I *on* również nie ma nic do czynienia z kontraktem mięsa wołowego. A to rzecz szczególna z tym rządem, pomyślałem sobie, czyż nie wygląda to po części, jak gdyby nie chciano wypłacić?....

Następnego dnia udałem się do ministra spraw wewnętrznych.

Zacząłem:

„Wasza Cesarska Wysokości, na lub około dnia 10 października — —".

„Dość tego, mój Panie. Słyszałem już o panu. Wynoś się Pan z swym niecnym kontraktem. Ministeryum spraw wewnętrznych nie prowiantuje wojska".

Poszedłem. Lecz byłem rozdrażniony. Powiedziałem sobie, będę ich prześladować, każdy wydział

uczynię niepewnym moją osobą, póki sprawa kontraktu mięsa wołowego nie zostanie uporządkowaną. Muszę zrealizować ten rachunek, choćbym miał zginąć jak moi poprzednicy. Poszedłem do generalnego dyrektora poczt, narzucałem się ministeryum rolnictwa, czatowałem na prezydenta izby posłów. Wszyscy ci nie wiedzieli nic o kontrakcie z dostawą mięsa dla armii. Zwróciłem się do dyrektora kancelaryi patentów.

I rzekłem:

„Wasza Ekscelencyo, na lub około — —".

„Do stu diabłów! Czy zaszedłeś Pan aż *tu* z swym rewolucyjnym kontraktem? Nie, nigdy nie mieliśmy i nie mamy do czynienia z kontraktami armii, mój zacny Panie".

„Ach, to bardzo pięknie — lecz przecież *ktoś* musi zapłacić kontrakt. A *teraz* musi być zapłaconym lub też konfiskuję cały, ten stary urząd patentowania.

„Ależ kochany Panie — —".

„To mi wszystko jedno. Kancelarya patentów jest mojem zdaniem odpowiedzialną za kontrakt, a zresztą jest czy nie jest, musi zapłacić".

Szczegóły nic tu nie znaczą — dość, że cała ta awantura skończyła się bójką. Kancelarya patentów zwyciężyła. Lecz ja odkryłem przy tej sposobności, że kasa państwa jest owem miejscem, którego potrzebuję.

Poszedłem tam. Czekałem półtrzeciej godziny, wreszcie przyjął mnie pierwszy dyrektor kasy.

Rzekłem:

„Jaśnie oświecony Panie, na lub około dnia 10 października 1861 r. zawarł John Wilson Macken— —".

„Dobrze, mój Panie. Słyszałem o panu, udaj się pan do pierwszego audytora kasy".

Uczyniłem to. Ten odesłał mnie do drugiego audytora. Drugi do trzeciego, a trzeci odesłał mnie do pierwszego kontrolera oddziału bydła i zboża. Wyglądało to trochę porządniej. Przeszukał swe księgi i papiery, nic jednak nie znalazł. Poszedłem do drugiego kontrolera tegoż oddziału. I ten napróżno przeszukiwał swe księgi i akta. To mi dodawało odwagi. W tym tygodniu doszedłem do szóstego kontrolera tegoż oddziału, drugi tydzień upłynął mi w tym oddziale, trzeciego tygodnia ukończyłem przegląd oddziałów zapadłych kontraktów i znalazłem się w oddziale rachunków niezałatwionych. Po trzech dniach ukończyłem tam moją pracę. Zostawało mi jeszcze jedno miejsce. Rozpocząłem oblężenie komisarza dla spraw bagatelnych. A raczej jego sekretarza — gdyż on sam był nieobecny. W pokoju tym siedziało szesnaście pięknych, młodych pań, zapisujących coś w książki, jak również siedmiu od natury uposażonych pisarków, dających im instrukcye. Panienki uśmiechały się do pisarków, ci płacili im tą samą monetą, było tu wesoło jak na weselu. Dwu czy trzech pisarków czytało gazety, popatrzyli surowo na mnie nie przerywając czytania i nikt do mnie nie przemówił.

Ja byłem już przyzwyczajony do podobnie szybkiej usługi w mem życiu pełnem wrażeń — począwszy od dnia, gdym po raz pierwszy wstąpił w progi oddziału bydła i zboża. W tym czasie nabrałem już takiej biegłości, że mogłem stać w biurze na *jednej* nodze aż do chwili póki pisarz nie przemówił, zmieniając ją dwa lub trzy razy.

Tak stałem i tutaj, zmieniwszy nogę po raz czwarty. Wówczas zwróciłem się do pisarka, który czytał gazetę i rzekłem:

„Szanowny brukotłuku, gdzie jest wezyr?"

„Co chcesz Pan przez to powiedzieć? O kim pan mówisz? Jeśli myślisz o naczelniku biura, ten wyszedł".

„Czy odwiedzi dziś harem?"

Młody człowiek z gniewem popatrzył na mnie i znów rozpoczął czytać. Lecz ja znałem już przyzwyczajenia pisarków. Wiedziałem, iż będę uratowany, gdy on skończy lekturę, zanim nowa poczta z New-Yorku nie nadejdzie. Miał jeszcze tylko dwa dzienniki. Po chwili skończył, ziewnął i zapytał się mnie, czego ja sobie życzę.

„Zacny i osławiony leniwcze! Na lub około— —".

„Ach to człowiek z kontraktem. Daj mi Pan swe papiery".

Wziął je i długi czas przerzucał owe akta bagatelne. Wreszcie znalazł klucz do zagadki, którego napróżno szukali moi poprzednicy. Byłem głęboko wzruszony. A jednak się ucieszyłem—gdyż dożyłem tej chwili. Rzekłem drżącym z wzruszenia głosem:

„Daj mi Pan. Rząd uporządkuje teraz całą sprawę"

Skinął przecząco i powiedział, że trzeba ją jeszcze uzupełnić.

„Gdzie jest John Wilson Makenzie?" zapytał.

„Umarł".

„Kiedy umarł?"

„Właściwie on nie umarł — został zamordowany".

„W jaki sposób?"

„Tomahawkiem".

„Któż go zamordował tomahawkiem?"

„No, naturalnie, że Indyanin. Czyż sądzi Pan, że mógłby to uczynić Superintendent jakiej szkoły niedzielnej?"

„Nie. Więc Indyanin".

„Tak jest".

„Nazwisko Indyanina?"

„Jego nazwisko? *ja* nie wiem".

„*Musisz* Pan wiedzieć. Kto był świadkiem jego zabójstwo?"

„Nie wiem".

„Więc pan sam nie byłeś przy tem?"

„Popatrz Pan na moje włosy. Nie mogłem być obecny".

„Skądże Pan wiesz, że Mackenzie umarł?"

„Gdyż rzeczywiście umarł w tym czasie i mam powód przypuszczać, że do tej chwili nie zmartwychwstał. W samej rzeczy o tem wiem *ja* faktycznie".

„Musimy mieć dowody tego twierdzenia. Czy przyszedł z panem ten Indyanin".

„Naturalnie, że nie".

„Musisz go Pan przyprowadzić. Przyniosłeś pan tomahawk?"

„Nie myślałem o tem".

„Musisz go Pan przynieść. Musisz Pan Indyanina z tomahawkiem przedstawić. Gdy to starczy na udowodnienie śmierci Mackenziego, wówczas możesz się pan udać do komisyi roztrząsającej podobne rachunki i możesz mieć nadzieję, że gdy się około tej sprawy pokrzątasz, twoje dzieci zyskają wypłatę. Lecz śmierć tego człowieka musi być udowodnioną. Prócz tego, mogę pana upewnić, że rząd nigdy nie zapłaci kosztów podróży i transportu. *Być może* że wypłaci należytość za jedną beczkę, która wpadła w ręce żołnierzy Shermana, jeśli przeprowadzisz uchwałę na zapomogę w kongresie, specyalną w tym celu; lecz nie wypłaci panu za owych dwadzieścia dziewięć beczek zrabowanych przez Indyan".

„W takim razie zyskam tylko sto dolarów, a nawet i *te* nie są pewne! Po tych podróżach mięsa po Europie, Azyi i Ameryce — po wszystkich badaniach i kontrolowaniach rachunków transportu — po śmierci tylu niewinnych, którzy mieli nadzieję uzyskać wypłatę! Młodzieńcze, dlaczegoż nie powiedział mi tego pierwszy kontroler oddziału bydła i zboża?

„Gdyż nie wiedział o słuszności pańskiej pretensyi".

„Czemuż mi nie powiedział drugi? trzeci? żaden z urzędników wydziału i oddziału?"

„Gdyż żaden z nich o tem nie wiedział. Tu u nás idzie wszystko według przepisów. Pan szedłeś tą drogą i dowiedziałeś się czego pragnąłeś. Jest to droga najlepsza. Jest to droga jedyna. Chociaż bardzo powoli, lecz pewnie prowadzi do celu".

„Ach tak, do pewnej śmierci. Ona zabrała największą ilość mej rodziny. I ja zaczynam odczuwać, że jestem dla niej przeznaczony... Młodzieńcze, kochasz tę wesołą, ładniutką istotkę z stalowem piórem za uchem — widzę to po twem łagodnem spojrzeniu; chcesz się żenić — nie masz pieniędzy. Oto, wyciągnij pan rękę — oto masz kontrakt mięsa wołowego; idź i bądź szczęśliwym! Niechaj was niebo błogosławi, moje dzieci!"

To jest wszystko, co wiem o wielkim kontrakcie mięsa wołowego, który tyle hałasu w świecie narobił. Pisarz, którego obdarowałem, umarł. I nic nie wiem co się dzieje z kontraktem, lub też z osobami go posiadającemi. To wiem tylko, że kto się cieszy długiem życiem, może wreszcie odkryć jaką sprawę w urzędach Washingtonu, jednak po wielu trudach, kłopotach i zwłokach, po długim a długim czasie, dowie się wreszcie o tem, co mógł zaraz pierwszego dnia sprawdzić, gdyby bieg spraw urzędowych był tak urządzony, jak się to dzieje w wielkim, kupieckim domu handlowym.

KONIEC TOMU I-go.

SPIS RZECZY.

	Str.
Kilka uczonych bajeczek dla dobrych starych chłopców i dziewcząt	3
Mądre słówko dwuletniego dziecka	33
Żołnierz Lukrecyi Smith	38
Ekonomia narodowa	45
Autobiografia Marka Twain'a	54
Przed sądem przysięgłych	62
Okrzyki w Irlandyi	64
Wiadomość w sprawie wielkiego kontraktu mięsa wołowego	66